Nr. 7. Kraków, w lipcu 1902 r. Rok III.



Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

* * *

Stała się rzecz niesłychana. Po krzywdzie, jakiej nasz naród doznał ze strony władz pruskich w sprawie wrzesińskiej — monarcha — ten, który ma być moralnym opiekunem swoich poddanych, król pruski, wydaje o nas sąd i to co jest **naszem prawem i świętym obowiązkiem** -- bronienie swojej narodowości — nazywa „**polską bezczelnością**“. Miało to miejsce w miesiącu czerwcu b. roku w Malborgu, gdzie cesarz wypowiedział mowę.

I cóż jest tą „naszą bezczelnością“?

Oto to, że nie pozwalamy katować naszych dzieci za to, że nie umieją po niemiecku. Oto to, że mówimy po polsku i głośno w ojczystej naszej mowie przyznajemy się do tego, że jesteśmy Polakami.

Oto to, że nie padamy na twarz przed tymi, którzy nas hańbią, — i nie czujemy wdzięczności dla tych, którzy nas krzywdzą.

Tak osądził nas król pruski Wilhelm II., ale inaczej osądzi nas Bóg.

Ten, który stworzył ziemię i na tej ziemi dał żyć ludziom, wlał w ich serca miłość szlachetną dla ojczystego kraju, na którym im żyć wypada. Wobec Boga i naszego sumienia — grzechemby było zaprzeć się swojej ojczyzny i swego narodu. I my o tem pamiętajmy — a na słowa króla pruskiego, przywłaszczyciela naszej ojczyzny, odpowiedzmy: Bóg nas rozsądzi inaczej!

Ale słów za mało — trzeba czynu, którymby naród godnie odpowiedział na wyzywającą mowę cesarza niemieckiego.

W kraju naszym, ludzie dobrej woli, pomni swej narodowej godności, przygotowują protest, do którego zapewne cały naród się przyłączy, ale zanim to nastąpi, niech każdy z nas w małym zakresie swoich obowiązków protestuje przeciwko tej krzywdzie i obrazie naszego narodu.

Powiadają Niemcy, że gdyby nie oni, tobyśmy nie zaznali dobrodziejstw cywilizacyi, i że powinniśmy być im za to wdzięczni.

Ale uwierzy temu chyba ten, kto nie zna historyi, albo kto zapomniał, czem nasz naród był dawniej.

W historyi piszą, że tortur w Polsce nie znano, dopiero w średnich wiekach z nastaniem rządów niemieckich na Śląsku tortury tam wprowadzono.

Natomiast uczą nas dzieje, że królowie polscy dbali o miasta, zakładali w nich ła-

źnie publiczne, ażeby „każdy mógł swoje grzeszne ciało obmyć“.

Już Kazimierz Wielki w drugiej połowie XIV-go wieku, ten dobry Polski gospodarz, dba o szkoły, zakłada nawet akademię w Krakowie wtedy, kiedy o królestwie pruskiem ani się nikomu nie śniło.

Wtedy na części ziemi, którą dziś dzierży Prusak, siedzieli Krzyżacy, niewierni lennicy Polski. A później, w niedługim bardzo czasie, bo 1410 r. Władysław Jagiełło rozgromił ich pod Grunwaldem, a jeszcze później Kazimierz Jagiellończyk zmusza ich do składania hołdu. Gdy zaś u nas panował Zygmunt I. z rodu Jagiellonów, wtedy mistrz zakonu krzyżackiego, który tyle razy dotąd niewiernością się odznaczył wobec Polski, zdradza i Kościół i przyjmuje naukę Lutra, a tylko dzięki łasce naszego króla do godności księcia świeckiego został podniesiony, równocześnie zaś składa królowi na klęczkach hołd. Działo się to w Krakowie 1525 r. W połowie XVII-go wieku król nasz, Jan Kazimierz, uwalnia księcia pruskiego od składania hołdu, a August II-gi w roku 1701 zezwala mu na tytuł króla.

Z tego krótkiego rysu histórycznego widać, że Polacy nie potrzebowali i nie potrzebują cywilizacyi od Prusaków, ale przeciwnie mogą im łatwo przypomnieć, że to oni od Polaków niejednego potrzebowali i że łaską Polski z jednej strony i krzywdą wyrządzoną Polsce z drugiej strony doszły Prusy do tego, czem dziś są.

Nie dajmy się! Zbierajmy siły i pokażmy Niemcom, że od nich nic nie potrzebujemy, kupujmy, tylko to, co swoje, co krajowe, brońmy swojej mowy, poznawajmy nasze dzieje i nasze krzywdy, abyśmy wiedzieli, do jakiego obrachunku z naszymi wrogami Bóg nas kiedyś powoła.

Z dziejów Malborga.

Nad jednem z ramion Wisły, niedaleko jej ujścia do Bałtyku, wznoszą się mury Malborga, wspaniałego zamku, dawnej siedziby Wielkich mistrzów krzyżackich.

Było to w r. 1228, gdy Konrad, książę Mazowiecki, brat Leszka Białego, nie mogąc obronić swych dzierżaw nadwiślańskich od ciągłych napadów pogańskiego ludu Prusaków, u ujścia Wisły mieszkających — zawezwał Zakon niemieckich rycerzy, t. zw. Krzyżaków, i osiedlił ich w ziemi dobrzyńskiej i Nieszawie, pod warunkiem, że bronić będą Mazowsza od łupieżczych wypraw Prusaków. Niemcy ci, na pół rycerze, a na pół zakonnicy, silni jednością, karnością i posłuszeństwem swej zwierzchniczej władzy, z całą też bezwzględnością przeciw Prusakowi wystąpili, zgnietli i wycięli ich w pień, a ziemie ich po obu stronach ujścia Wisły, nad Bałtyckiem morzem, w ciągu niespełna stu lat w swoje objęli władanie. Na mocy układów mieli oni od książąt mazowieckich a tem samem od Polski zależeć, wkrótce jednak tak się rozpanoszyli i w potęgę wzrośli, że bez zapytania i pozwolenia swoich zwierzchników, t. j. królów polskich, na zajętych ziemiach po swojemu i bez ograniczenia gospodarować zaczęli. Więc w dalszym zamiarze mając i na drugi a sąsiedni lud pogański, to jest na Litwinów, uderzyć, aby ich z prastarych dziedzicznych ziem wyzuć i wyprzeć, zbroili się wciąż i budowali ogromne, silne grody i zamki. Jednym z takich był właśnie Malborg czyli Marienburg — gród Maryi — niby poświęcony Najświętszej Maryi Pannie. Lecz odtąd szły na nas z Malborga śmierć i zniszczenie, krzywda i niewola; z dumnego zamku wysuwały się zbrojne zastępy, na ich czele powiewały płaszcze białe, krzyżem znaczone; ale nie chrześcijańską miłość, nie słowa litości i miłosierdzia niosły one za sobą, gdziekolwiek przeszły, tam pola zniszczone długo leżały odłogiem, zostawały po nich zgliszcza i ruiny, ludność ginęła lub wylękła tułała się po okolicznych lasach, nędzę i rozpacz zostawiali oni po sobie. W taki to sposób rycerze malborscy zgubnymi śladami znaczyli swe drogi, Zakonni bracia nie wahali się pod hasłem krzyża zabijać, rabować, grabić słabszych i bezbronnych.

Ale oto szybko zmieniają się stosunki, zagrożone narody Polski i Litwy podają sobie dłoń bratnią, ślubują wspólnemi siłami odeprzeć zuchwałego wroga; ci słabi, pogardzeni, deptani zrywają się do boju i święcą świetny tryumf na polach Grunwaldu. Wtedy Malborg, stolica Zakonu, oblężony, otoczony dokoła przez Polaków i Litwę, jeszcze chwila, a zdawać się mogło, że runie cała jego potęga. Ocalał jednak — ale nie na długo; jego pyszni panowie okrucieństwem i zdzierstwami odwrócili od siebie serca własnych poddanych, sama ludność pruska i pomorska zwróciła się do Polski, a pokój w Toruniu zawarty w 1466 r., po długiej, trzynastoletniej wojnie z Krzyżakami, oddał zachodnie Prusy

wraz z Malborgiem w ręce króla naszego, Kazimierza Jagiellończyka. Wybiła godzina tryumfu, odwetu, Krzyżacy oddać musieli zamek i miasto i kraj cały aż po wybrzeża Bałtyku. Do Polski powracały te ziemie, pod jej opiekuńcze ramiona tuliły się ludy, na zawsze złamaną została pycha Zakonu, odtąd wiódł on marny żywot, bez chwały, aż wreszcie w 16-tym wieku, wskutek przyjęcia przez Wielkiego mistrza, Alberta brandenburgskiego, nauki Lutra, istnieć przestał. I zdawać się już mogło, że nic nie pozostało z wielkiej, krzyżackiej potęgi, że imię jej zaginęło na zawsze... Upadł Zakon, ale jego dążenia i cele, jego chciwość i pychę, jego zaborczość, bezwzględność, śmiertelną nienawiść do polskiego narodu odziedziczyli jego bezpośredni następcy, książęta pruscy. Miejsce Zakonu zajęło w 16-tym wieku świeckie, pruskie księstwo, wprawdzie podległe i zależne od Polski, ale wrogie jej i zdradziecko pragnące jej zguby. Dziedzicem polityki dawnych władców Malborga stał się w 16-tym wieku król pruski Fryderyk, który pierwszy podał myśl rozbioru Polski, i Prusy zachodnie, królewskie, z Malborgiem dla siebie zagarnął. Jego dziedzicem jest dzisiejszy cesarz niemiecki, Wilhelm II-gi, który wznawia przeszłość minioną i z malborskiego zamku wzywa gorąco wszystkich Niemców do walki z Polakami, jednych poddanych państwa swego zbroi przeciwko drugim i jakby na urągowisko w chwili, gdy naród nasz rozdarty na części cierpi niewypowiedziane katusze, gdy zaborcze państwa depczą względem nas wszelkie prawa i sprawiedliwość, gdy dzieci nasze katują za jeden dźwięk mowy ojczystej, gdy więżą, prześladują za ukochanie przeszłości i nadzieję przyszłości, jakby na urągowisko cesarz niemiecki rzuca słowa o „znanej polskiej bezczelności i sarmackiej bucie“.

Mowa cesarza Wilhelma, w malborskim wypowiedziana zamku, głośnem i bolesnem echem odbiła się o wszystkie ziemi naszej zakątki, rozwiała resztki nadziei, żeby kiedykolwiek położenie nasze w państwie pruskiem znośnem nam być mogło, rzuciła nam nowe hasło walki na śmierć i życie, walki podobnej do tej, jaką niegdyś z Malborga Wielcy Mistrzowie krzyżaccy głosili Polakom i Litwie. Więc i dziś naród nasz stanie do obrony ziemi swej i narodowości, skarby uczuć gorących przechowywać będzie, podniecać, rozwijać... Odpowiedzią na mowę cesarza Wilhelma jest nawoływanie do obchodzenia pamiątki wielkiego dnia Grunwaldu, 15 lipca 1410 roku. W rocznicę tej świetnej chwili naszych dziejów, w której świat słowiański święcił tryumf zupełny nad germańską złamaną potęgą, budzi się w sercach naszych nadzieja, że jeżeli nie my, to następujące po nas pokolenia doczekają pewno drugiego Grunwaldu... Kto sieje nienawiść, ten zebrać musi prędzej czy później jej gorzkie owoce — krzywda każda rodzi mścicieli...

Helena Witkowska.

Na tle dziejów krzyżackich w Malborgu, napisał wielki nasz poeta Adam Mickiewicz prześliczną powieść p. t. „Konrad Wallenrod“. Wyjmujemy z niej kilka ustępów, przedstawiających w jaki sposób odbywał się w tym starożytnym zamku obiór wielkiego mistrza; oraz piękny obraz uczty w Zakonie....

I.

Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono:
Dzień uroczysty w Krzyżowym Zakonie;
Zewsząd Komtury do stolicy spieszą,
Kędy zebrani w kapituły gronie,
Wezwawszy Ducha Świętego uradzą,
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą,
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
Na radach spłynął dzień jeden i drugi.
Bo wielu mężów staje do zawodu:
A wszyscy równie wysokiego rodu,
I wszystkich równe w Zakonie zasługi;
Dotąd, powszechna między bracią zgoda
Nad wszystkich wyżej stawi Wallenroda.

II.

Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono,
Z obradnej sali idą do kaplicy:
Najpierwszy Komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono.
Nieszpornych modłów kapituła słucha,
I śpiewa hymny do Świętego Ducha.

Po modłach wyszli. Arcykomtur zlecił,
Spocząwszy nieco, powracać do choru,
I znowu błagać, aby Bóg oświecił
Kapłanów, braci i mężów obioru.

III.

Gdy Mistrz praw świętych ucałował księgi,
Skończył modlitwę i wziął od Komtura
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi:
Wzniósł dumne czoło, chociaż troski chmura
Ciężyła nad niem; w koło okiem strzelił,
W którem się radość na pół z gniewem żarzy,
I, niewidzialny gość na jego twarzy,
Uśmiech przeleciał słaby i znikomy:
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
Zwiastując razem wchód słońca i gromy.

Ten zapał mistrza, to groźne oblicze
Napełnia serca otuchą, nadzieją;
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze,
I hojnie w myśli krew pogańską leją.
Takiemu władcy któż dostoi kroku?
Któż się nie zlęknie jego szabli, wzroku?
Drżyjcie Litwini! już się chwila zbliża,
Gdy z murów Wilna błyśnie znamię krzyża.

Nadzieje próżne. — Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały drugi rok w pokoju;
Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie
Ani sam walczy, ani śle do boju:
A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opatrznie.
Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów,
Że bracia gwałcą przysiężone śluby;
Módlmy się, woła, wyrzeczmy się skarbów,
Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.
Narzuca posty, pokuty, ciężary,
Uciech, wygody niewinnej zaprzecza,
Lada grzech ściga najsroższemi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
Omijał bramy zakonnej stolicy,
Teraz dokoła wsie co noc podpala,
I lud bezbronny chwyta z okolicy;
Pod samym zamkiem dumnie się przechwala,
Że idzie na mszę do mistrza kaplicy.
Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.

IV.

Był dzień Patrona, uroczyste święto.
Komtury z Braćmi do Malborga jadą;
Białe chorągwie na wieżach zatknięto;
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.

Sto białych płaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:
To byli Bracia; a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Już mistrz powstawszy, daje uczty hasło:
„Cieszmy się w Panu"! Wnet puhary błysły
„Cieszmy się w Panu"! tysiąc głosów wrzasło,
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł, i na łokciu wsparty
Słuchał z pogardą nieprzystojnych gwarów;
Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.

„Cieszmy się", rzecze. Cóż to bracia moi,
Także rycerzom cieszyć się przystoi!
Zrazu wrzask piany, a teraz szmer cichy...
Mamyż ucztować jak zbójce lub mnichy?

„Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniewa i nudzi;
I znowu niechaj znudzonych przestrasza.
Takie jest życie, — taka piosnka nasza!...
Kto ją zaśpiewa? kto"?

„Ja", odpowiedział
Sędziwy starzec, który u podwojów
Między giermkami i paziami siedział.
Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów.
Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną,
Głowę obwiewa ostatek siwizny,
Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię pruską nosił,
A lewą rękę wyciągnął do stoła,
I tem skinieniem posłuchania prosił.
Ucichli wszyscy.

„Ja śpiewam, zawoła.
Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem:
Dziś, jedni legli w ojczyzny obronie,
Drudzy żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie,
Dobić się wolą nad jej martwem ciałem;
Jak sługi wierne w dobrym i złym losie,
Giną na swego dobroczyńcy stosie.
Inni sromotnie po lasach się kryją.
Inni — jak zdrajcy, między wami żyją.

„Ale po śmierci... Niemcy, wy to wiecie,
Sami spytajcie niecnych zdrajców kraju,
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,
Zechcą swych przodków wywoływać z raju?
Jakim językiem poproszą o wsparcie?
Czy w ich niemieckiej barbarzyńskiej mowie
Głos dzieci swoich uznają przodkowie?...

†

Adolf Dygasiński.

Życie i dola naszego wieśniaczego ludu od lat kilkudziesięciu silny znajduje oddźwięk w sercach ludzi głęboko i rozumnie czujących, a oddźwięk ten wyraża się na zewnątrz w ich pracy, dążnościach, usiłowaniach i miłości pełnem ogarnieniu wszystkiego, co z chłopem i jego otoczeniem ma styczność. Więc ukochawszy przedstawiają go społeczeństwu całemu i wskazują nań jako na najzdrowszy, jędrny, na wskroś narodowy żywioł, który w przyszłości pod tchnieniem zbawczej oświaty i opieki dobrobytu w rdzeń polskiego obywatelstwa się przeistoczy. Jednym z tych, który tak pojął, tak zrozumiał i całą duszą umiłował wieśniaków naszych, był w maju b. r. zmarły ś. p. Adolf Dygasiński, mąż uczony, znakomity wychowawca czyli nauczyciel i doskonały znawca natury ogólnie ludzkiej i zwierzęcej. W swych pełnych prawdy życiowej powiastkach maluje on wieś polską i jej mieszkańców dosadnie a rzewnie, współczując z ich biedą, trudem, znojem, troską — a zawsze lepsze, szersze, piękniejsze ukazując dla nich widnokręgi. Abyście zapoznali się z jego sposobem pisania, podajemy dziś jeden ustęp pięknej jego nowelki p. t.:

„BELDONEK“.

Był sobie chłopak jeden — małe takie, brudne, na przypiecku to siadało, kozikiem strugał a strugał patyki; no i sam sobie ciągiem opowiadał, co z tego patyka chce zrobić:

— Króla takiego — mówi — okrutnego pana, co będzie miał wszystko, jak zechce, jak każe...

A nie, to zdłubał znowu jakiego cudacznego zwierza, co nogi miał jak u konia, a skrzydła nikej u gołębia. Różności przychodziły temu dziecku do głowy, nie takie było, jak inne dzieci. Beldonek go przezwali we wsi, i tak już zostało. Miał ojca, matkę, jeno braci i siostr więcej nie było. Ludziska ci zarabiali się, zwyczajnie jak w chłopskim stanie — grzebało to w ziemi, babrało się wedle bydląt. A ten Beldonek nie lubił takiej roboty; od dziecka nie chciało mu się żyć jak inni ludzie. Kiej kozikiem czego nie wykrawał, to w palcach coniebądź lepił z gliny, albo wziął z komina węgiel, poleciał za chałupę i dopiero na słupach różne cudaki gryzmolił, czyli też na wrotni od stodoły. Bywało bieży nieraz pod kancelaryą gminną albo się chyłkiem skrada ku dworowi, i tam na podwórku gmera w śmieciach, nie przymierzając, jak kura. A on to robił köli różnych papierków, bo je ogromnie lubił zbierać. Jak tego nazbierał, tak dopiero rozlepiał precz po ścianach i płotach. Chałupa owych Beldonkowych rodziców aż się pstrzyła bez to, co przed takim chłopakiem nie można było żadnej czystości utrzymać. Zalazł do sadu, to i na drzewach kozikiem różności wyrzynał. Drugi ojciec, toby uczciwie zepsuł skórę takiemu smarkatemu i oduczyłby od psoty; jeno ten Beldonków pozwalał chłopakowi na wszystko — juści pewnikiem bez to, jako jedno dziecko było w chałupie. No, rozpuściło się na nic chłopaczysko, zrobił się z niego taki mitręga. Zagadał co, to zawdy nic do rzeczy.

— Słyszycie wy, matulu — powiada, — jak to myszy pod nalepą piszczą!

— One tak gadają z sobą, nikiej ludzie, — rzeknie chłopak.

Znowu drugi raz uważał sobie, że jak wiatr śwista, to niby coś grało po dworze. Czasem go starzy zgadali za to, ale to nic nie pomogło.

— Wyrośnie, to zmądrzeje, — powiadała matka.

Przyszło jakieś złe powietrze i umarł ojciec temu chłopakowi; lament ogromny w chałupie, matka się zanosi z płaczu, o kęs się pod ziemię nie schowa. Chłopak też popłakuje za panią matką, ale co trochę to pyta:

— Matulu, co się tatusiowi stało?

Ona jęczy w niebogłosy i woła:

— Dyć umarł, umarł mój kochanek!.., Zostałeś sierotką na świecie, a ja nieszczęśliwa wdowa.

Jeno Beldonek nie rozumiał, co to jest „umarł“ i ciągle się matce napierał, żeby mu tłomaczyła, jak tatuś umarł. Takie już było jakieś dziecko, że na proste rzeczy rozumu żadnego nie miało.

Lubiły we wsi baby tę kobietę, schodziły się potem do niej, żeby jej markotność po chłopie rozpędzić. To tam u niej w chałupie na jesieni czy w zimie po całych wieczorach jedne przędły, drugie darły pierzę, czy też łuskały groch albo kukurydzę, a przytem bajały różności. Weszło to przez cały rok we zwyczaj. Beldonek słuchał; okrutnie lubił takie baje, omal się nie zasłuchał. Już potem znowu przez cały dzień nic nie robi, tylko dziwności wygaduje; precz rozpowiada historye, co pono jeszcze ciekawsze były od tych babskich. Miał głowę do takich rzeczy.

— „Był chłopak — mówi, — z chałupy wyszedł bez niczego, w świat sobie poszedł...“

Dopiero matce wykłada jedno po drugiem, jak ten chłopak żył, jakie miał straszne przypadki. Stara się uwija po chałupie, jak to przy gospodarstwie — kartofle struże, porządek robi w naczyniu, czy ogień nieci, a chłopak rznie swoje sztukę. To się nieraz aż spłakała, jednem jeno uchem słuchając, bo tak smutnie rozpowiadał wszystko.

A wiecie, matusiu, co się z tym chłopakiem stało? Powiedzieć wam?...

I znowu rozpowiada zmyślnie, nikiej z książki, jak się w tym biednym chłopcu zakochała panna ze złotymi włosami.

Skąd tota takiemu małemu przychodziło do głowy? Ledwie jednę historyą skończył, całą docna wypowiedział, już znowu drugą zaczyna.

— „Był taki człowiek — powiada, — co mowę zwierząt podsłuchał i wiedział rzeczy innym ludziom nieznane...“

Całą historyą bardzo długą ciągnie; a coraz to wszystko ciekawsze; bo taki człowiek mógł umarłego do życia przywrócić, sam się też mógł zmienić w zająca, wilka, czy też mrówkę albo ptaka. Nie tylko takie historye opowiadał; inne jeszcze piękniejsze były: O jednym, co smoka o dwunastu głowach poćwiartował, król mu za to swoję córkę dał za żonę i na królestwie go posadził.

Nie dość na tem; rozpowiadał o zaklętych królewnach, o czarnoksiężnikach, o różnych okrutnych zbójach, o zamkach, pałacach, skarbach niezmiernych. Myślałby kto, że on te rzeczy widział, a to było tyla z głowy, tak sobie układał.

— Myślicie, matulu — rzecze, — że to nieprawda?... Niech jeno kiedy pójdę w świat, to po kolei wszystkiego odszukam.

— To ta nie dla chłopa — powiada matka — gonić wiatr po świecie; jak urośniesz, musi ci niestatek z głowy wywietrzeć. Nie żadneś przecie pańskie dziecko, żebyś był włóczykijem, czy obieżyświatem!...

On już miał taką naturę, ten mały. Nieraz matka opowiadała babom, że kiej inni w nocy spali, Beldonek nie spał; wpatrywał się jeno w ciemności, a bał się czegoś, choć przy matusi legał.

— Ciarki mnie nieraz obłażą — mawiała Beldonkowa matka — bo może do tego dziecka załazi zmora, albo strzyga.,.. Zakryje bywa obiema rękami oczy i drze się ze strachu, że coś takiego widzi, a tu jako żywo nic niema. Budzi się rano, dziwności opowiada, bo mu się osobliwe rzeczy przyśniwają. — Matusiu — mówi — obejrzyjcie-no mnie całego, czy niema na mnie jakiego znaku od spadnięcia, bom w nocy był hen pod samem niebem i musi do samego rana spadałem na ziemię, lecący stamtąd. — Toś nie spadał — gadam mu — jeno rosłeś wtenczas, kiedy ci się to obśniwało. A on nie wierzy.

— Posłalibyście go oto z gęsiami na błonie — powiada do matki stryjna Beldonkowa. — Chłopak bez roboty i z tego mu się we łbie różnie roi.

— A może — myśli matka.

I posłała go paść gęsi na błoniu zawraz z innymi chłopakami ze wsi.

Gdzie on ta o gęsiach miał myśleć!

— Pokraczne jakieś dziecko — powiadają ludzie — musi go w małości kto na rozum urzekł, a tego nie odczyni, bo okrutnie wewnątrz.

Pasał on to ta gęsi? Licha miał pasać! Bieży nad wodę i słucha, powiada, że niby taka płynąca struga do niego też coś gada.

— Co znowu ma gadać! — mówią mu dzieci inne, bo nie miały takiego bałamuctwa w mysli.

A on koniecznie napiera, że gada, że wyraźnie słychać:

„Trylili, jedziemy, płyniemy....
Stój, prrruuu!
Jazda dalej, niema czasu,
Bel-bel-donku, bądź zdrów!....“

To się naśmieli z niego pasterze, a hurmem latali za nim po błoniu dla osobliwości.

Drugi raz znowu staje przed drzewem i pyta tamtych dzieci:

— Albo wy wiecie, co ten tam trznadel wyśpiewuje na gałązce?

— No, cóż? Ty sam tego nie wiesz, tak sobie ano śpiewa i po wszystkiemu — powiadają pasterze.

A on zaraz udaje śpiewanie trznadla i odrzeknie:

„Ze zdechłego cielęcia będzie niiic!...“

— Tać rychtyk, prawda!... — mówią one chłopaki i dopiero jeden przez drugiego powtarza: — „Ze zdechłego cielęcia będzie niiic!“

Bo on to tylko trznadla tak spatrzył. Kiej wróble świerkały na wierzbie, Beldonek zaraz powiada, że one rozmawiają, jeden mówi:

— „Filip, Filip!
Wiesz ty kaj księży jęczmień?“

A drugi mu na to:

— „Wiem, wiem,
Lećwa tam!“

O gęsiach, to znowu powiadał, że się tak rozmawiają:

— „Jagata, Jagata,
Dałabyś nam a to źreć, źreć!“

Do takich oto rzeczy, to ten chłopaczysko był jedyny, ale nie do pasania, czy innej jakiej roboty. Do gadania miał okrutne przekonanie i jak co do czego przyszło, mógł nawet staremu niejedno wytłómaczyć.

Miał ten Beldonek niecałych osiem lat życia, kiedy go odumarła matka. Zbeczał się strasznie, bo się bardzo oboje kochali z matusią, ale go ludzie ciągle pocieszali:

— Nie płakałbyś a to — nie, matusia twa poszli na tamten świat i patrzą stamtąd na ciebie, czy ci się na tym świecie krzywda jaka nie dzieje....

Uspakajał go tak stryk, ujek, stryjna, ujna i inni ludzie. Jakoś żal przeszedł, lecz chłopak nieraz sobie myślał, co matusia jego robi na tamtym świecie i czasem go okrutna chęć brała, żeby też odwiedzić matusię. Nieraz mu się śniła, chwytał ją za szyję, a kiedy rano wstał, żałował, że się matusinej zapaski lub spódnicy nie czepił i z nią na tamten świat nie poszedł.

Z początku w chałupie stryka Matusa było mu niczego, nieźle; raz dostał nawet od stryjny kromkę chleba z miodem, zjadł, aż palce oblizał. On ta nie wiedział, że po pani matce ostały dla niego dwie krowy, cielę, źrebna kobyła, wieprzek, wóz, chałupa, no i grunt. Stryk Matus był opiekunem i w jego chałupie chował się chłopak sierota.

Nie wyszło miesiąca od śmierci matusi a już stryk i stryjna zaczęli zapędzać Beldonka do ciężkiej roboty. Bydła mu pasać nie pozwalano, bo to robił Wojtek, syn stryka. Był na posłudze przy chałupie, przy stodole, w polu, gnój z pod bydła wyrzucał. Ale mu się robota nie paliła w rękach, niby to robił — nie robiący. Raz, drugi, dziesiąty zgadał go stryk Matus, a jak nic nie pomogło, to powiedział, co „takiego prawie jeno na zarobek do dwora posyłać i za te pieniądze wziąć do chałupy innego jakiego spychacza...“

To chodził teraz Beldonek na zarobek do dworu, brał za dzień dwanaście groszy od pielenia, dziesięć groszy od kręcenia powróseł, od poganiaczki za pługiem, albo od wyrzucki słomy przy maszynie do młócenia. Do rozrzucania gnoju na polu, do sadzenia — to go nawet przyjmować nie chcieli.

Robota we dworze była mu najcięższa, bo nie dosyć, że polowy stał ciągle na karku i doganiał, ale jeszcze chłopaki i dziewuchy wyprawiały sobie z niego pośmiewisko.

— Był-do-nic-, był-do-nic, Beldonek! Co miało znaczyć, że nazwisko *Beldonek*, wyraża człowieka *do niczego.*

Nawet do porachunku w niedzielę rano nie mógł sam przychodzić, tylko stryk z kwitkami chodził do dworu i pieniądze odbierał; a i on kiedy powrócił, był zły, markotny, gdyż tak polowy, jak ekonom, mawiali, że:

— Takiemu rakowi niema za co płacić, bo jego robota łyżki żuru nie warta...

Kazała mu raz stryjna narwać pokrzyw; rwał, rwał i narwał; ale mu ogromnie ręce popuchły, bo te pokrzywy były strasznie parzące, musiał jeszcze posiekać, a ona je sparzyła wrzącą wodą i kazała chłopakowi, żeby to prosiętom zadał w korycie. On wziął i zrobił. Dopiero te zwierzęta okrutnie w chlewie kwiczały, jak poczuły, że im jadło stawiają; tak on je puszcza z zamknięcia, a to bestyjstwo rwie się do koryta bez żadnego upamiętania — zwyczajnie jak świnie. Wpadają chłopakowi hurmem pod nogi, pchnęły i przewaliły go na ziemię. No nic, żrą z koryta, jeno mlaszczą, a chłopak się podnieść nie mógł bez to, że go od tych pokrzyw paliły strasznie ręce i nogi. Z takiego bólu, co mu się aż na płacz zbierało, złość go porwała na one świnki, tak dopadł jednej, łap ją za ucho i dopiero pięścią zaczyna młócić gdzie popadnie. Świnia w kwik, on precz wali, a inne ją odjadają. Wylatuje z izby stryjna, widzi taki rozgardyasz, przypada do chłopaka i swoim porządkiem jego znowu chwyta za ucho jedną ręką, musi lewicą, a prawicą grzmoci za plecy, aż w chłopaku jęczało.

Setnie go skatowała, bo była zawzięta, rozżarta o to prosię.

Siadł przed chałupą na pogródce, wziął głowę między ręce, baczy z tego wszystkiego. A tu przychodzi stryk i od swojej dowiaduje się o tych sprawkach ; nie powiedział nic, jeno poszedł do komory, wyjął skądś kawałek powroza, złożył go sobie we dwójkę, jak się patrzy, trzyma to z tyłu, cicho podchodzi do Beldonka i ściągnął go uczciwie. Tak chłopak aż się przegiął; zaraz chciał gdzie uciec. Ale cóż, kiedy go stryk dostał do garści — trzyma, a skórę rznie na stojący i raz po raz powtarza : „Będziesz ty drugi raz katował boskie stworzenie !...

Musi dużo bólu miał chłopiec, bo posiniał na gębie ; ale jak go stryk z rąk wypuścił, to się wstrzymywał od głośnego płaczu, bo mu mogli jeszcze co przyłożyć. Dopiero kiej stryk poszedł z tym powrozem do izby, Beldonek w nogi,

puścił się w pole, goni co żywo, i wtenczas już zaczął tak ryczeć, że ludzie na okolicę przy robocie postawali, żeby widzieć, co się dzieje. On het bieży, gdzie to tam już chałupę zostawił: wypadł na chłopskie grunta, przeleciał miedzami, jeno się migał ludziom w oczach; wpadł na dworskie pola, a nic żwawości w nogach nie stracił. Miało się już pod wieczór, kiedy chłopak, popłakując, wyszedł za granicę wsi swojej. Idzie już potem drogą, płacze coraz ciszej, skoro się oddala. Dosyć, że się całkiem uspokoił.

— Nie wrócę ja już do nich, nie, — powiada sobie, — pójdę kajbądź, pójdę na tamten świat do matuli, a do strykowej chałupy nie wrócę...

Jak sobie pomyślał o matusi, o tamtym świecie, tak mu ulżyło w markotności; widział niby że mu się teraz nikogo bać nie trzeba. Tak jeno pomacał ręką po plecach, ale czuł, że go jeszcze okrutnie boli. Nic, ciągle idzie; sam nie wiedział, skąd mu się na śpiewanie zebrało i zaśpiewał sobie:

„Matuś, matuś moja,
Już ty w grobie leżysz;
Ja się poniewieram,
Może o tem nie wiesz...“

Kiej to przyśpiewywał, tak znowu myśli: Daleko też może być do tamtego świata?...

— Trza — powiada, — iść i iść ciągiem, to koniecznie dojdę.

Widzi słonko się opuszcza, ładniuśkie takie, migotliwe.

— Rychtyk —, myśli, — ono na tamten świat idzie: pójdę het za słonkiem.

Tak się puszcza tęgo, bo się chłopakowi widziało, że on jeszcze przed nocą do słońca dopadnie, że na noc zajdzie do tamtego świata, do swojej matuli. Ale się już zadyszał, ustał zupełnie; siadł wedle drogi i patrzy w ono słonko, co akurat jakby leżało na ziemi; wiadome rzeczy, zachodziło za inne światy. Przygląda się, a słonko, jeno — mig, mig, gasło tak nikej kaganek czy łuczywo, jak się już dopala. A na chmurach się tyla mieniło od ognistości i takie się czerwone porobiły jakieś wieże, kościoły, pałace czy co takiego.

Wstał, ledwie już lezie, zdrożył się chłopaczyna; patrzy — wieś jakaś, już był daleko od domu. Ale się bał czegoś iść do tej wsi między ludzi i nie poszedł. Nasłuchuje tylko z daleka, czy też tu tak samo, jak we wsi jego.

Rozpatruje się po chłopskich półkach; choć był mrok taki spory, poznał, że ma po jednej stronie żyto, jak las gęste, a po drugiej — aż pachniała koniczyna. Patrzy dalej, za półkami łąki, a no opary się na nich bieluśkie dźwigały w górę, nikiej białe chusty czy rańtuchy. Tak się toto wlokło po powietrzu, jakby chodziło jakie żywe — raz wyżej, znowu niżej, szło aż na pola. Kiej się wpatrzył w te mgły, zaczął go sen ogarniać, zamknął oczy i usnął. Ciepława taka lipcowa nocka, najlepiej się wtedy sypia na polu, to on też spał twardo do białego dnia. Dopiero go nad ranem trochę ziembiło, bez to, co rosa na nim osiadła okrutna.

Wyspał się porządnie; jak wstał z tamtej miedzy, był ogromnie żwawy, tylko myśli — czem się ta będzie pożywić? Jak spojrzał teraz na słoneczko, tak sobie zaraz wspomniał, że ono wczoraj na wieczór zachodziło, jeno całkiem zobaczył, w którem miejscu: no, bo było już gdzieindziej na niebie.

— Ej, co tam — powiada, — wszędzie trafię, byle iść drogą prosto przed siebie...

Skoro wstał, zaraz okolił tę wieś poza ogrodami i wyszedł na drogę prościutką, jak strzelił.

NA MARTYNICE.

Pierwsza połowa b. roku, a zwłaszcza miesiące: maj i czerwiec zaznaczyły się w wielu miejscach ziemi ogromnemi klęskami żywiołowemi. Zwłaszcza grozą przejął wszystkich straszny w y b u c h w u l k a n u Mont Pelé na Martynice, jednej z wysp Oceanu Atlantyckiego w pobliżu południowej Ameryki. Wyspa ta, należąca do Francyi, bogata w płody roślinne, doskonale zagospodarowana, o bujnych pastwiskach, plennej glebie, cennych plantacyach tytoniu, kawy i trzciny cukrowej, posiadająca zamożne miasta, a z tych najznaczniejsze St. Pierre, zaś ludność skrzętną, pracowitą i dzielną — została nawiedzona niespodzianie strasznem nieszczęściem. W pobliżu portu (tj. przystani morskiej) i miasta głównego wznosi się góra wulkaniczna, którą jednak z powodu, iż od 50 lat zaprzestała objawiać siłę wybuchową, uważano za wulkan wygasły czyli nieczynny i zupełnie nieszkodliwy. Nagle w pierwszych dniach b. r. objawiać się z niej poczęły groźne zapowiedzi. Więc dawał się słyszeć huk i grzmot podziemny, a z otworu wierzchołkowego góry (który nazywamy kraterem), ukazywały się odblaski ognia wewnętrznego, unosiły



Grupa dzieci wrzesińskich, katowanych przez „nauczycieli“ pruskich 20 maja 1901 r.



Chora Piasecka, skazana przez sąd pruski na dwa i pół roku więzienia, z dziećmi swemi i starą matką.

się dymy, pary, wreszcie zaczął wylatywać miałki jak pył popiół i chmurami całemi osłaniał okolicę. Następnie począł ją zasypywać coraz goręcej i coraz gęściej padając. Mimo to wszystko mieszkańcy St. Pierre i okolicy najbliższej wulkanu wcale nie przewidywali ostatecznej klęski, t j. właściwego wybuchu roztopionej lawy i gradu kamieni, który też, co prawda, nastąpił tak nagle, że nikt z miasta całego nie miał czasu ani pomyśleć o ucieczce i o ratunku, i niemal nikt też nie ocalał. Zginęło pod gruzami zburzonego do szczętu miasta przeszło 30 tysięcy ludzi, którzy dusili się lub palili w żarze ciał wybuchowych. Nie dość na tem jednak. Zniszczenie zakreśliło znacznie szersze koło, albowiem oprócz miasta St. Pierre, kilka okrętów i mnóstwo łodzi stojących w pobliskim porcie uległo zupełnej zagładzie, bądź wskutek zdruzgotania pociskami kamieni, sypiących się z wulkanu, bądź też wskutek zatonięcia na wzburzonych falach morza, którego dno równocześnie z wybuchem doznało dość silnego wstrząśnienia. Dziś, z pięknej, kwitnącej i szczęśliwej wyspy pozostał tylko szmat ziemi obumarłej, zmartwiałej, ze spaloną i spopieloną roślinnością — z gruzami i tysiącami trupów. Dla pozostałych, a nagle tak unieszczęśliwionych i zubożałych mieszkańców wyspy płyną datki z całego świata. Czy jednak zechcą się odbudowywać na ruinach wielkiego tego cmentarzyska, niewiadomo, bo uczeni badacze wnętrza ziemi (geologowie) nie wróżą wyspie tej spokoju. Wulkan na nowo otwarlszy swe łono, gotów nie poprzestać na tym jednym wybuchu, ale stać się wrotami, przez które burzące siły wnętrza ziemi ujścia dla siebie szukać będą jeszcze przez czas długi.

W związku z tym wypadkiem były kilkakrotne w tych czasach powtarzające się tu i ówdzie trzęsienia ziemi. Dawały się one odczuwać mniej lub bardziej silnie i w miejscowościach takich, które od czasu do czasu bywają niemi nawiedzane (np. Włochy, południowe kraje alpejskie, Hiszpania, Ameryka środkowa) i w takich, gdzie dotąd bardzo rzadko lub nigdy nawet ich nie bywało, np. w północnych Węgrzech i w Wiedniu. Trzęsienia te, co prawda, większych szkód nie sprowadziły, bardzo jednak zatrwożyły ludność, jako zapowiedź mogących nastąpić klęsk, a uczonych naprowadziły na poważne obawy jakiegoś poważniejszego przewrotu na powierzchni ziemi, tembardziej, że od pewnego czasu astronomowie coraz więcej zauważają plam na słońcu, a pojawianie się tychże zawsze jest zwiastunem grożących zaburzeń żywiołowych u nas. Słońce bowiem, jako obdarzające nas ciepłem, światłem i życiodajną siłą, oddziaływa na planetę naszą tak potężnie, że wszelkie zmiany i przewroty na niem dokonywujące się muszą i u nas wywoływać odpowiednie zjawiska. Plamy słoneczne, oznaczające, że na gwieździe tej odbywają się wybuchy potężne — i na naszą płynną zawartość wnętrza ziemi, oraz jej prężne gazy pobudzająco działają i różne katastrofy wywolują, jak np. wybuch wulkanów, wybuch gazów w kopalniach, trzęsienia ziemi, orkany czyli szalone burze z wichrami itp. A właśnie teraz i tych wam nie zabrakło wcale. Gazy w kopalniach (w Borysławiu, na Śląsku, w Czechach, w Belgii, w Ameryce) wybuchały i zapalając się powodowały straszne nieszczęścia, zabierając liczne ofiary w ludziach, robotnikach, a rujnując mienie właścicieli. Orkany czyli straszliwe burze szalały też w Ameryce, niszcząc miasta, zatapiając okręty, porywając mnóstwo ofiar w ludziach i ich dobytku.

A i u nas, na małą co prawda skalę, ale i tak niebywały dotąd zdarzył się taki orkan w Brzeżanach, we wschodniej Galicyi, gdzie kilkanaście domów z ziemi zmiótł — a innych mniejszych szkód spowodował ogromną ilość.

Klęski żywiołowe i na tem się jednak nie ograniczyły jeszcze; albowiem w drugiej połowie czerwca nawiedziły właśnie nasz kraj, podobnie jak co roku, powodzie, z tą tylko różnicą, że na znaczniejszych przestrzeniach i w większych rozmiarach prowadząc ze sobą nieszczęścia i straty dla biednych i tak rolników. Wisła zwłaszcza wraz z swemi pobocznemi górskiemi rzekami, jak Solą, Skawą, Rabą, Dunajcem wystąpiła z brzegów i zalała swemi wzburzonemi a mętnemi toniami pola, łąki, ogrody, a gdzieniegdzie nawet chaty i gospodarskie budynki, podmulając lub unosząc z sobą. Zapasy koniczyny i innych pokosów przepadły, ziemniaki, zbytnio nawodnione, zgniją — a zboże sporyszem porośnie. Ot jakie nadzieje na tegoroczne zbiory! Nędza znów zapanuje wszechwładnie po wsiach i bez tego biednych, a ludność rolna bez środków do życia znów zacznie ojcowiznę swą za bezcen sprzedawać i za ocean do Ameryki, na zgubę oczywistą uciekać. Czyż rady na to nie ma? Jest jedna, ale skuteczna, a nią samopomoc społeczeństwa całego. Niechaj każdy obywatel kraju poczuje się do obowiązku wspólnej działalności dla wszystkich, niech na razie z pomocą dla najbardziej nieszczęśliwych pospieszy, a następnie niech stanie silnie na gruncie obowiązku i przemysł drobny wiejski ze wszystkich sił swoich popiera, aby lud na roli w jej plonach zawiedziony, zarabiać mógł wyrobami przemysłowymi, mogąc je spieniężać u współobywateli, którzy nic u obcych nie kupując, w rękach swoich rodaków grosz polski pozostawić zechcą.

W górę serca!

„Że wstaniesz Polsko, że wstaniesz na nowo,
„Wieściło Tobie proroków Twych słowo;
„Z niemi anielskie chóry głoszą w niebie,
„Że przemoc Twego ducha nie zagrzebie!“

Tak do nas przemawia Frank Hamilton Fortey, z urodzenia Indyjczyk, z pokrewieństwa Anglik, a z pochodzenia Francuz, który chociaż nie należąc wyłącznie do żadnej ojczyzny, uczuł przecież potrzebę obrania sobie takowej i wybrał Polskę.

Jakżeż więc nie mamy ponad wszystko kochać naszą ojczyznę, kiedy nawet obcy kochać ją pragną, a kochają dlatego, iż poznali jako mimo strasznych prześladowań ze strony zaborców, duch narodu żyje.

O bracia Polacy! nie trwożmy się o przyszłość naszej ojczyzny, ona powstanie z tego uśpienia, w którym wiek przeszło spoczywa, a wstanie z takim żarem życia, że nikt go już nie zgasi, z taką potęgą, że żaden wróg nie ośmieli się sięgnąć po jej granice.

Skończył się jeden wiek naszej niewoli. O! gdybyśmy tak rozważnie czytali w dziejach tego wieku, to przed oczyma naszemi stanęłaby druga Kalwarya; na tych kartach dzieje wypisane są krwią męczenników, dla sprawy narodowej cierpiących i mimowoli wydziera się nam z piersi głos modlitwy:

„My już tyle krwi przelali,
„Że nią zmyte ojców grzechy,
„My już tyle łez wylali,
„Że nie stanie łez pociechy.“

A Bóg słyszy ten głos, widzi nasze wysilki i naszą pracę nad oswobodzeniem ojczyzny, widzi te miliony męczenników naszych, poległych w latach 1794, 1831, 1846—1848. 1863—1864. Widzi męczenników z Podlasia, dzieci broniące wiary św. we Wrześni, a nareszcie biskupów wygnanych za to, że jako dobrzy pasterze, strzegą swojej pieczy powierzone owieczki od wilków, i zdaje się, że słyszymy głos Boży:

„Narodzie Polski! strzeż swej wiary, nie trać „nadziei, bo zbliża się dzień trzeci Twego letargu, „wkrótce ześlę swego anioła, który odwali kamień „przemocy nad grobem Polski, pękną pieczęcie nie„woli, a Polska zmartwychpowstanie z chorągwią, „na której biały orzeł znajdować się będzie.“

„O bracia polscy! Oto Bóg sam woła,
„Że gdy będziecie strzedz jego Kościoła,
„Gdy wciąż będziecie jako syny Boże,
„Wstanie ojczyzna — i nic jej nie zmoże.“

Więc w tej nadziei i otusze kąpiąc serca nasze, pracujmy, aby lud nasz polski, a szczególnie wieśniacy, garnęli się do oświaty, aby się uczyli kochać swój zagon ojczysty i nie dali się z niego usuwać, ani też sami go nie sprzedawali za marne parę groszy Niemcom, którzy potem niewolników z nich zrobićby chcieli.

A więc polski ludu! w górę serca! bo:

„Już się zbliża ta wielka epoka,
„Kiedy łzę zetrze Bóg z polskiego oka,
„I kiedy będą głosić w świata strony,
„Bóg wrócił Polsce — jej raj utracony.“

Piotr z Krakowa.

Kilka słów o elektryczności i jej zastosowaniu.

(Ciąg dalszy).

Światło elektryczne.

Człowiek posiada różne sztuczne środki do rozpraszania ciemności nocy, ale bez wątpienia światło elektryczne jest najpotężniejszym sposobem. Lampy elektryczne są dwojakie: łukowe i żarowe.

Lampa łukowa składa się z dwu węgli stożkowatych, stojących w pionowej linii nad sobą, które za pomocą drutów są połączone z bateryą galwaniczną albo dynamomaszyną. Otóż z takiej bateryi lub dynamomaszyny płynie prąd po drutach do lampy i przepływa przez węgle. Jeżeli te są zupełnie zbliżone, to końce się rozżarzą, jeżeli zaś te węgle trochę oddalimy, to tworzy się nadzwyczaj jasny łuk świetlny między obu węglami. Łuk ten świetlny składa się z rozżarzonych, oderwanych cząsteczek węgla, które w ten sposób przewodzą prąd od jednego węgla do drugiego. Temperatura tego światła jest bardzo wysoka, wynosi bowiem 2500—3000° C.

Gdyby jednak zanadto węgle się oddaliły, toby prąd nie przepływał, lampa by zgasła. Więc istnieje przy każdej lampie przyrząd tak zwany regulator, którego zadaniem jest, aby skoro węgle się zanadto oddalą wskutek spalania się na końcach, napowrót je przybliżyć.

Lampa żarowa wygląda znów tak: Jestto bańka szklanna, w której zwęglone włókno roślinne jest osadzone na dwu drucikach platynowych i z której powietrze wypompowano. Otóż skoro przepuścimy prąd elektryczny przez to włókno, wtedy włókno rozżarza się i przez to dostarcza nam światła. Dlatego zaś wypompowano z tej bańki powietrze, aby to włókno nie spaliło się w tlenie powietrza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Opis obrazów Artura Grottgera

p. t. „Wojna“,

które obecnie dodajemy do *Przodownicy*. Obrazów tych będzie 11.

(Ciąg dalszy).

3. Losowanie rekrutów.

Jesteśmy w izbie przeznaczonej do poboru rekrutów. Na stole, przy którym zebrana usiadła komisya, stoi wielka urna, z której popisowi wyciągają losy, mające stanowić o ich przyszłości. Właśnie przystąpił młodzieniec do urny, a silna postać jego i muszkularne ciało świadczą, że go uznano zdolnym do służby wojskowej. O przyszłości jego ma rozstrzygnąć jedna chwilka, ślepy traf ciemnego losu ma stanowić o jego dalszem życiu.

Młodzieniec nie może się oprzeć silnemu wzruszeniu, które na chwilę pozbawia go przytomności. „Spieszże się, chłopcze!“ woła pan komisarz, oficer już niemłody i ściśniętą pięścią w stół uderza. Postać jego wyraża niecierpliwość i wzburzenie: jakżeż można tak lekceważyć przepisy służbowe?! Obok niego młody oficer zadumany z współczuciem spogląda na młodzieńca; on pojmuje zgrozę jego położenia, on jeszcze nie jest tym nieugiętym służbistą, u niego jeszcze surowa karność wojskowa, co człowieka czyni automatem, nie wystudziła młodzieńczego uczucia.

Ze ściśniętem sercem sięga młodzieniec swą prawicą do urny; oczy jego padają na liczne kartki, co w nieładzie rozsypane leżą przed nim na ziemi. O! straszne mu one opowiadają dzieje, dzieje jego poprzedników, co podobne, jak on, w tem miejscu ponosili katusze... Już wyciągnął, nieszczęsny! czarną wyciągnął kartkę — on już żołnierzem.

Zmysły mu się mięszają, harda głowa opada mu na piersi, lewica konwulsyjnie ściska kapelusz, prawica, co złowrogi zgotowała mu los, opada bezsilnie.

Wtem przeraźliwy krzyk przerywa grobową ciszę. To matka młodzieńca, rozerwawszy podwoje, rozpaczliwie załamując ręce chce wcisnąć się do izby, do tych ludzi bez serc, którzy jej jedynego wydarli syna. Ale warta przy drzwiach zna swe obowiązki — żołnierz bagnetem oddziela syna od matki.

Biedna matko! straciłaś syna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CHÓW KACZEK.

Mało który gatunek drobiu tak się opłaca chować, jak kaczki, szczególniej, gdzie są sadzawki, strugi i tym podobne wody. Na większych rzekach o silniejszym prądzie, całe stada kaczek czasami porywa prąd wody i przepadają. Kaczka zaczyna znosić jaja przy końcu lutego, gdy ma chlew ciepły i dobre pożywienie. Zwykle niosą się w nocy, chociaż rano wypuszczając, macać je trzeba, bo niektóre mogą się nieść w dzień, a w takim razie jaja pogubią. Na chów zostawia się na 6 do 8 kaczek jednego kaczora. Najlepsze są dwuletnie kaczki, a kaczor roczny. Celem odświeżenia krwi nabywać trzeba kaczora z obcego stada. Z ras, które nieraz już czytelnikom opisywaliśmy, zasługują na polecenie, kaczki białe „Peking“, które co do wzrostu dorównywują małym gęsiom. „Pekingi“ nie są tutaj pewno za bardzo jeszcze rozpowszechnione, ponieważ w najnowszym dopiero czasie uznano w całej pełni wielką użyteczność tych ptaków. W każdym razie dostarczyć może jaj tej rasy lub młodych kacząt, p. Lipowski w Owczarkach (Wossarken b. Graudenz), którego zakład hodowli drobiu, niedawno temu czytelnikom polecaliśmy.

Kaczka wogóle nie lubi sama wysiadywać małych, chociaż nie trzeba jej przeszkadzać, gdyż i kaczka wyprowadzi małe stadko, a wychowanie kaczątek jest wtedy łatwiejsze i wiele mniej kosztuje, bo je stara prowadzi do wody; sama wyszukuje im pokarm, a w tym razie zwykle ranną i wieczorną karmę można im zadawać dla przynęty, aby zupełnie nie zdziczały. Najlepiej porobić w suchym i ciemnym chlewie gniazda z małym otworem (jak dla gołębi), wysłać zielonem sianem, a nawet świeżymi liśćmi. Ile jest kaczek, tyle powinno być gniazd, które same już pilnują i w nich własne jajka składają; tych ruszać nie należy, chyba żeby gniazdo poprawić lub oczyścić.

Gdy kaczka zaczyna się pierzyć i coraz dłużej na gnieździe pozostaje, stanowi oznakę, iż chce siedzieć. Osłania się wtedy otwór trochę kamieniem, ażeby jej druga kaczka nie przeszkadzała, a rano i pod wieczór kamień się odrzuca i podaje świeżą wodę i ziarno na pokarm. Tak pozostawione kaczki w spokoju wszystkie jaja z pewnością wylęgną, a jeżeli się zdarzy jakie zepsute, sama je z gniazda odsuwa i wyrzuca. Gdy się już wszystkie kaczątka wyklują, trzeba gniazdo ze skorupek oczyścić, a po 24 godzinach dać małym siekane twarde jajko i czystą wodę, dodając po trochu i coraz więcej drobno posiekanych świeżych pokrzyw. Po tygodniu, jeżeli ciepło, można już starą kaczkę z dziećmi wypuścić na dwór, a ona je zaraz prowadzi na wodę. Wtedy na brzeg trzeba im kilka razy dziennie pokarm donosić, bądź z gotowanych posiekanych ziemniaków z ospą lub gotowaną grubą kaszą. Po dwu tygodniach o pokarm przyniesiony już nie dbają, ale trzeba im go rano i wieczór poddawać, gdyż odwykłyby zupełnie od powrotu do chlewu. Kaczki, wysiedziane przez kury i indyki, daleko więcej wymagają starania, dłużej i lepszego trzeba im dawać pokarmu, gdyż same, bez starych, kaczki dobrego żeru w wodzie sobie znaleźć nie potrafią.

GOSPODARSTWO
DZIELNEGO WIEJSKIEGO NAUCZYCIELA.

Wiadomość poniżej skreślona nauczy nas dwóch rzeczy. Najpierw zatem zaczerpniemy z niej przykład, czem może być dla okolicy dobry nauczyciel wiejski, a powtóre wiadomość ta będzie nam wskazówką, **co można otrzymać z malutkiego nawet kawałka ziemi.**

We wsi Rybnie w Królestwie Polskiem w powiecie sochaczewskim jest szkoła gminna, a w niej uczy dziatki nauczyciel, p. Józef Skupiński. Człowiek to rozumny, pracowity, a postanowił sobie widocznie, na skromnem swem stanowisku być jak najbardziej użytecznym Jakoż nietylko uczy dzieci czytać, pisać, Boga chwalić, ale jeszcze i dzieci owe i rodziców ich nawet do wzorowego gospodarstwa przyzwyczaja.

Gruntu, należącego do szkoły, jest w Rybnie jeden duży mórg, częściowo użyty pod łąkę, kawałek zajęty jest pod zboże, a reszta pod ogród i pasiekę. P. Skupiński, człowiek żonaty ale bezdzietny, utrzymuje przy sobie ojca staruszka. Pensyi pobiera 120 rubli rocznie. Gospodarstwo jego dzieli się na pszczelnictwo, sadownictwo i rolnictwo. Jedenaście lat temu sprowadził sobie dwa ule, a obecnie posiada ich już 60. Z początku robił wydatki na sprowadzenie uli i kupno odpowiednich narzędzi i przyborów pszczelarskich, obecnie zaś ze sprzedaży samego miodu i wosku otrzymuje do 120 rubli rocznie. To też nauczyciel utrzymuje, że pszczelnictwo jest najodpowiedniejszem dla niego zajęciem, ponieważ na nie zużywa czas wakacyjny.

Wzorowem prowadzeniem pasieki dał p. Skupiński przykład miejscowym włościanom, którzy zaczynają zakładać pasieki, zamieniając pnie na ule nowego systemu. W ogrodzie owocowym zastał po swoim popoprzedniku jedną jabłoń i gruszę, a obecnie posiada 115 drzew owocowych, jabłoni, grusz, śliw i wiśni. Nasadził również dla osłony od wiatrów dużo białej akacyi, a posiada i krzewy owocowe. Drzew p. nauczyciel nie kupował, lecz je wyhodował z siewu, a potem uszlachetnił przez szczepienie odpowiednimi gatunkami.

Wszystkie drzewa w ogrodzie p. Skupińskiego są silne, pięknego wzrostu, zdrowe i b a r d z o p ł o d n e. A owocują tak obficie, że cała rodzina nauczyciela spożywa je przez cały rok, bądź to w świeżym suszonym lub przerobionym stanie. Drzewa owocowe są posadzone w prostych liniach i pozostają pod troskliwą opieką. Oprócz dużych drzew jest tu i szkółka, gdzie p. Skupiński wysiewa zebrane nasiona, a na wzeszłych płonkach zaszczepia szlachete gatunki. I w tem naśladują go okoliczni mieszkańcy: sadzą koło swych zabudowań owocowe i miarodajne drzewa, przyczem niektórym z nich pan nauczyciel rozdaje darmo drzewka ze swej szkółki. Większość też tutejszych włościan chętnie radzi się nauczyciela, jak szczepić i hodować drzewa owocowe.

Między drzewami sieje i sadzi p. Skupiński warzywa, potrzebne dla domu. Z gospodarczych roślin, potrzebnych na użytek domowy, dla ptactwa i na pokarm dla bydła, znajduje się: owies, żyto i kartofle. Żona p. Skupińskiego zajmuje się hodowlą ptactwa domowego, trzyma krowy, z czego też niezły dochód osiąga. Cały obszar gruntu przy szkole jest ogrodzony dobrym drewnianym płotem, postawionym kosztem samego nauczyciela. W rogu ogrodu, własnemi rękoma jego wykopana, znajduje się zarybiona sadzawka, a oprócz tego w pobliżu szkoły znajduje się studnia. także własnoręcznie przez p. Skupińskiego wykopana. Rozumie się, że całe to gospodarstwo nauczyciela w Rybnie przynosi mu znaczną korzyść, nie dającą się ściśle określić cyframi, ponieważ wszystkie produkty brane są na domowy użytek i przyczyniają się do dobrobytu rodziny.

RADY GOSPODARCZE.

Kapusta z dyni.

Jest gatunek dyni długiej, zielonej, olbrzymiej, bo widziałam egzemplarze wielkości dwuletniego dziecka. Na Węgrzech sadzą tę dynię po ziemniakach, tak, że na przestrzeni 4 metrów kwadratowych jest jeden krzak, a najwyżej dwa, a l e t o b a r d z o r z a d k o. Dynia ta używaną bywa zamiast kapusty, a przyrządzają ją następującym sposobem: Obrawszy zwykłym sposobem z łupiny i wyskrobawszy nasienne włókniste komórki, kraje się ją w podłużne pasy, a te na cienkie plastry, te znów na makaron, t. j. na wąskie paseczki. (Do krajania dyni na kapustę są specyalne szatkowniczki, bardzo tanie, a nadzwyczajnie ułatwiające robotę). Tak pokrajaną dynię soli się i pozostawia tak długo, aby zmiękła zupełnie, co zwykle trwa $^1/_2$ do $^3/_4$ godziny; następnie wyciska się ją mocno z soli i zalewa w braku octu mocno kwaśną serwatką, gdy dobrze nią przejdzie, wstawia się i gotuje dosyć długo, następnie robi się zaprażkę ze słoniny i kogo stać na to, dodaje stosownie do ilości dyni kwaśnej śmietany i zaprawia tem dynię, jak się zaprawia zwykłą kiszoną kapustę. Potrawa bardzo smaczna, pożywna i niedroga. Można ją jeść

i z ziemniakami i do mięsa. U nas ten rodzaj dyni udaje się wybornie, wiem z własnego doświadczenia.

Jest drugi rodzaj dyni okrągłej, czerwono-żółtej, żółtej i białawej, egzemplarze ogromnych rozmiarów, tak, że ledwie jedną dynię podnieść można. Mięso ich jest pomarańczowo-żółte. Otóż te dynie dadzą się używać do pieczywa ciasta i zastępują najwyborniej jaja. Dynie rozgotowuje się w mleku zupełnie, przeciera przez sito i w stosownej ilości dodaje do mąki. Ciasto bardzo smaczne i ma wygląd jakby było z wielką ilością żółtek zarobione. Ma się rozumieć, że do tego ciasta dodaje się jak zwykle drożdże i sól. Oprócz tego widziałam taką samą dynię, przyrządzaną z kaszą jaglaną i z zacierką na mleku gotowaną, ale to mi nie smakowało, bo było mdłe. Słyszałam jednak jedzących, że im ta potrawa wybornie smakowała.

Kto nie chce używać tego gatunku dyni do jedzenia, ma z niej wyborną karmę dla krów lub trzody. W pierwszym razie kraje się ją wraz z łupiną w drobne kawałki, aby się bydlę nie udławiło, a dla trzody trzeba rozgotować i plewy tym odwarem polać.

Z nasienia dyni można wytłaczać olej.

Napój z borówek.

Gdy borówki nastaną, trzeba je starannie przebrać, aby nie było między niemi listków, gałązek lub jakichkolwiek zanieczyszczających rzeczy, następnie trzeba je starannie pognieść, biorąc na miseczkę glinianą po małej ilości i rozcierając łyżką drewnianą. Roztarte borówki wkładać do osobnego naczynia, a gdy dana ilość jest już utarta, brać we worek płócienny, zupełnie taki sam, jaki do robienia serów i po odpowiedniej ilości wyciskać dobrze rękami. Dużo naraz nabranych borówek roztartych, nie wygniecie się dokładnie, lepiej więc zabawić się nad tem, a nie psuć złem wyciśnięciem soku. Gdy już borówki są wyciśnięte, to sok przegotować z goździkami korzennemi, biorąc 4 ziarnka utłuczone na garniec soku, gotując szumować, ale tak, aby goździków nie zebrać. Przegotowany sok pozostawić w naczyniu glinianem 3 do 4 dni, potem dodać wanilii pół laseczki na garniec soku i jeden funt cukru i przegotować raz jeszcze, potem zlać w butelki zimny już sok, zakorkować, dobrze zalać lakiem (przetopiona żywica z drzewa jodłowego lub świerkowego), wstawić do piwnicy i niech tak stoi najmniej sześć tygodni. Jest to napój bardzo przyjemny, nie drogi, a zdrowy w miarę użyty. Wytłoczyny mogą być ususzone i jeszcze dobrze użyte na zatrzymanie w czasie dyaryi (rozwolnienia, biegunki).

W każdem obejściu gospodarskiem znajdują się miejsca, na których nic sadzić nie można, a przecież zużytkowane być powinny. Otóż na takich nieużytkach koło domu, stajni, stodoły należy sadzić bulwy. Te w lecie dają miły wygląd domostwu, otaczając je zielenią w jesieni, z ich liści jest chciwie przez bydło spożywana pasza; łodygi wysuszone służą na paliwo, a na wiosnę, gdy jest tak trudno o karmę dla bydła, dostarczają takowej w wielkiej obfitości bulwy, które się wykopuje po zejściu śniegu, gotuje i tym odwarem plewy lub sieczkę polewa albo surowe siekane podaje. W niektórych okolicach biedni bardzo ludzie żywią się na przednowku bulwami. Kto dostanie jednę tylko bulwę do zasadzenia, może z niej w krótkim czasie dochować się wielkiej ilości. Wykopywać je trzeba z każdą wiosną, bo gdy się ich dużo nagromadzi z roku na rok, wygniją wszystkie.

Ponieważ gosposie lubią pić kawę, a czasem, albo daleko do miasta, albo i grosza niema pod ręką, aby kupić więcej dla domu, mogą sobie same przyrządzić kawę, która jest bardzo zdrową, smaczną i niefałszowaną, jak zwykle bywa mielona kawa, po sklepach żydowskich sprzedawana, gdzie przemyślni żydkowie już raz gotowaną kawę wysuszają (tak zwane fusy), dodają do niej cokolwiek świeżej kawy dla zapachu i ubogim ludziom sprzedają za czystą kawę.

Chcąc mieć taką domową kawę, trzeba upalić czystego jarego żyta, a zamiast cykoryi dodać palonej marchwi, którą się tak przyrządza:

Marchew czysto oskrobać, opłukać, z wody osączyć i osuszyć, a następnie w drobniutkie kostki pokrajać i po chlebie w piecu ususzyć, następnie tę ususzoną marchew upalić jak kawę, umleć i wraz z upalonem żytem, także zmielonem, na spół gotować, jak się zwyczajną kawę gotuje. Niech każda gosposia choć raz spróbuje, a z pewnością raz na zawsze poprzestanie na domowej swojskiej kawie. Która chce mieć kawę jeszcze lepszą, może ją przyrządzać z cykoryą figową, którą także sama sobie zrobić potrafi. Pół kilograma fig na pręcie kosztuje 28 halerzy, tj. 14 centów. Figi te trzeba zdjąć z pręta, ułożyć jedna koło drugiej na blasze, wsadzić do rury szabaśnikowej lub do pieca przy chlebie, żeby się na ciemnobrunatno upiekły, czyli upaliły, potem gdy już są upalone, ale nie spalone, skruszyć je i ubić dobrze w jakiem naczyniu, aby odwilgły. Tych upalonych fig używać zamiast marchwi. Która gosposia nie ma piecyka do palenia kawy, może żyto i marchew bardzo dobrze upalić na szerokim rądlu bezustannie równo mieszając na ogniu. Upalone żyto i marchew wsypać do czystej suchej flaszki, którą trzeba trzymać równie w suchem miejscu i zatkaną korkiem, i ubierać z niej tyle, ile potrzeba. Na dwie

części palonego żyta bierze się jednę część marchwi, np. dwie garstki żyta, jednę garstkę marchwi.

Bardzo często wydarza się, że gąsienice zjedzą kapustę, a gdy tej niema, bieda na wsi daje się we znaki. Otóż jest rodzaj rzepy, tak dużej, jak głowy ludzkie, tę sadzi się ziarnkami rzadko zaraz z wiosną, okopuje i w jesieni wybiera z ziemi. Rzepa ta zeszatkowana i zakiszona jak kapusta, najzupełniej ją zastępuje, a nigdy nie zawodzi. W gotowaniu jest dobra, smaczna i wielce pożywna.

Która gospodyni mieszka przy lesie i ma sposobność nazbierania grzybów, niech sobie urządzi nad blachą kuchenną siatkę drucianą (metr takiej siatki w sklepie żelaznym kosztuje 60 centów). Można ją zawiesić na 4 drutach, przymocowanych do powały. Na tej siatce niech suszy grzyby w ten sposób, aby kładła wierzchem czapeczki na drucie, a białą stroną z korzonkiem, a najlepiej bez korzonka do góry, niby jak miseczkę. Silne gorąco wywoła sok na tę grzybową miseczkę, który stopniowo, jak grzybek usychać zaczyna, napowrót weń wchodzi. Grzybki w ten sposób suszone są bardzo wonne, czyste, nadzwyczajnie smaczne i nadzwyczajnie pożywne, bo nie wylewa się z nich sok, jak bywa przy suszeniu grzybków na nitkach, patyczkach lub na cierniaczkach. Grzybki ususzone silnie trzeba zaraz wkładać do torebek papierowych, zaklejać takowe dobrze, aby się mole do nich nie dostały i w suchem trzymać miejscu. Grzybki tak ususzone są podwójnej wartości. Gdy która gosposia znajdzie grzybek duży, to go najlepiej na cieniutkie płatki pokrajać, na takiej siatce nagle ususzyć, będą piękne, białe i również bardzo smaczne. Grzybki szatkowane suszone, ale nagle na kratkach, można w zimie używać jak świeżo, tylko je trzeba poprzednio w słodkiem mleku namoczyć, a potem jak świeże smażyć. Każda rzecz staranniej, dokładniej zrobiona, przynosi większe i niezawodne korzyści tym, którzy się tem zajmują. Pieczarki, tak zwane podsadówki, na wsi są nader poszukiwanymi grzybkami, a im są młodsze, tem większą mają wartość.

ROZMAITOŚCI.

Gwałty pruskie.

Cesarz Wilhelm zainteresował się obecnie niemczeniem nazwisk polskich i wydał polecenie władzom, aby w tym kierunku wzmocniły swą działalność czyli prześladowanie.

To też od tej chwili w urzędach, w wojsku, biedni nasi rodacy pod rządem pruskim coraz dotkliwszy uczuwają ucisk ze strony przełożonych.

W wojsku tłómaczą żołnierzom, „że człowiek obowiązany po przywdzianiu munduru myśleć i czuć po niemiecku, powinien też nosić niemieckie nazwisko“. To też imiona żołnierzy Polaków przemieniają na niemieckie. Po polsku między sobą mówić nie wolno, ani też używać dawnych polskich nazwisk.

Cesarz niemiecki nietylko wzywa i zachęca do prześladowania Polaków pod swoim zaborem, w swoim państwie i drażni jedną narodowość przeciw drugiej, ale wszystkich Niemców podbudza do walki z Polakami. Wyraźnie nawołuje Niemców austryackich, by mu pomagali w tej walce. („Zające i króliki)“. Hr. Bühlow, minister pruski, w swej nienawiści do Polaków, w taki sposób wytłómaczył konieczność prześladowania wszystkich współbraci, dając następujący przykład: „Gdybyśmy do parku wpuścili 10 zajęcy, a 5 królików, to na przyszły rok będziemy mieli 15 zajęcy a 100 królików“.

Tak określił minister pruski stosunek Niemców do Polaków w zaborze pruskim. Zające, to niby Niemcy, a króliki to niby Polacy. Chce więc p. minister w interesie zajęcy wytępić króliki.

O jednem tylko zapomniał wódz zajęcy, że park o którym mówi, jest własnością królików, a nie zajęcy, a kto więc w tym parku grabieżcą, zające czy króliki?

Czy jednak króliki na swoich własnych śmieciach dadzą się zjeść zającom? Chociaż tego bardzo pragnie zajęcze serce hr. Bühlowa, chociaż zające zbroją się w ćwierć miliarda marek, mimo to wszystko będziemy jeszcze świadkami w niedalekiej przyszłości, jak zające w skok będą uciekały z naszej ziemi. Lud polski potrafi je wypędzić z polskiej kapusty.

Klofacz, poseł czeski do parlamentu, w zapytaniu do prezydenta, wystąpił przeciw mowom malborskim cesarza Wilhelma. Cesarz niemiecki, — mówił Klofacz — „wezwał wszystkich Niemców nawet poza granicami państwa niemieckiego, a więc i w Austryi do walki przeciw Słowianom“.

Rząd austryacki powinien energicznie wystąpić ze względu na swoich niemieckich obywateli — Słowian — jakoteż we własnym interesie przeciw temu nienawistnemu przemówieniu cesarza Wilhelma.

Rocznica bitwy pod Grunwaldem. Rocznica pogromu dumnego i okrutnego zakonu Krzyżaków przypada na 15-go lipca b. r. Czterysta dziewięćdziesiąt dwa lat temu, jak Władysław Jagiełło złamał potęgę wroga naszego. Kraków i Lwów przygotowują się do wielkiego obchodu tej rocznicy. Niechże cały kraj obchodzi to święto sławnego zwycięstwa. Niechaj nie znajdzie się ani jedno miasteczko, ani jedna gmina polska, gdzieby nie odbyło się nabożeństwo, i odczyty o bitwie pod Grunwaldem w roku 1410 i mowie Malborgskiej w roku 1902.

Wielki huragan w Brzeżanach szalał 19-go czerwca 1902 r.; przebiegł również ponad okolicznemi wsiami, wyrządzając wszędzie straszne spustoszenia. W Dunajewie zrywał huragan dachy z domów, a w kilku minutach wyłamał 10-morgowy las sosnowy i wyrwał z korzeniami około 200 dębów. W Czemeryńcach rozniósł wicher siedm zagród włościańskich. Z pewnej wsi powiatu podhajeckiego donoszą: Dnia 19-go czerwca około godziny 8-mej rano nadciągnęła chmura, z której dobywały się głuche grzmoty. Nagle lunął deszcz i zerwał się gwałtowny wicher, a wkrótce potem powstał olbrzymi, w chmury sięgający słup, który kręcąc się, szedł z południa na północ i po drodze zrywał dachy, rozwalał domy, wyrywał drzewa z korzeniami, unosząc wszystko z żywiołową siłą w powietrze. Wieś przedstawia obraz zniszczenia. Z ludzi na szczęście nikt nie zginął ani nie odniósł ran Pewnego włościanina, który przechodził w tej chwili wsią, porwał huragan; chłop jednak uratował się, rzuciwszy się na ziemię i chwyciwszy się słupa. Skończyło się tylko na przestrachu i na stracie kapelusza, który huragan poniósł z sobą.

Z powiatu podhajeckiego przeniósł się huragan na Brzeżany.

Klęska powodzi. I znowu, jak niemal corocznie, dziesiątki wsi zalanych wodą płacze na nędzę swoją i patrzy z rozpaczonemi oczyma na zniszczone zasiewy na podmokłe chaty, na dzieci głodne i chore.

Od roku uchwalony kredyt na regulacyę rzek w sumie 75 milionów, a jednak woda niszczy swobodnie i bez przeszkód całe powiaty! Do setek przyczyn ubóstwa chłopa naszego dołącza się i powódź, powtarzająca się prawie co dwa lata z regularnością, którą nawet najmniej przenikliwa władza rządowa, czy autonomiczna, przewidziećby mogła i powinna!

Szkody te wynoszą miliony; nikt tych milionowych szkód nie naprawi i naprawić nie zdoła. Jedyną radą jest gruntowne, radykalne uregulowanie dzikich wód, a koszta jego wrócą się z nawiązkę.

Kraj woła o tę regulacyę od lat dwudziestu i dwadzieścia lat niemal niczego nie zrobiono, przez cały ten czas woda zatapia całe okolice.

W tym samym czasie klęsk i powodzi wydano miliardy na uzbrojenie wojska i wogóle na cele militarne.

W tym samym czasie podwyższono pensye oficerom, pobudowano ogromne, kosztowne koleje dla Wiednia, wydano miliony na regulacyę rzek w Tyrolu i zaczęto budować olbrzymią kolej, łączącą Wiedeń z Tryjestem. Inni mają miliony, my coroczną klęskę powodzi.

Wylew Wisły. Wydział powiatowy krakowski wysłał następującą depeszę do Wydziału krajowego: „Powodzią nawiedzonych 23 gmin, przeszło 1950 rodzin włościańskich, blisko 10.000 głów. Około 790 budynków zalanych; zniszczone plony na 4200 morgach ról (zboże, ziemniaki), 800 morgów łąk i koniczu. Na 12 obszarach dworskich zniszczone plony; 1200 morgów pól i 500 łąk. Na 5 obszarach także zabudowania zalane. Zalew ustępuje bardzo pomału, dlatego szkód w budynkach, drogach i mostach nawet w przybliżeniu podać nie można. Bydło cierpi głód, ale jeszcze nie zmarniało; trzody sprzedawać nie wolno.

Pomoc doraźna konieczna i to w wysokości 122000 koron (2.000 na powtórne obsianie, na paszę 50.000, na naprawę zniszczonych dróg i wałów 50.000, na ziarno do zasiewów ozimych 20.000 koron). Na roboty publiczne dla udzielenia zarobku i na zasiewy wiosenno później. Szczegółowe sprawozdanie szkód prowadzi się“.

Gminy zalane w powiecie krakowskim są: Kamień, Rusocice, Kłokoczyn z Kępą, Czernichów, Czernichówek, Wołowice z Grotową i Sułkową, Zagacie, Dąbrowa, Jeziorzany, Rączna, Ściejowice, Piekary, Kąty pod Kryspinowem, Bielany, Przegorzały, Zwierzyniec, Grzegórzki z Piaskami, Dąbie z Beszczem i Głębinowem, Płaszów z Kujawami, Branice i przysiołki: Chałupki, Wola Rusiecka, Holendry i Stryjów; Przylasek Ruski, Wyciąże z Przylaskiem, Wolica i przysiołki: Las Kościelnicki i Rogów.

Huragan. We czwartek dnia 3 lipca b. r. nad powiatem przemyskim przeciągnął gwałtowny huragan, wyrządzając straszne spustoszenia. Najwięcej ucierpiała północna i południowo-zachodnia część powiatu.

Około godziny 2-giej popołudniu ukazały się nagle na niebie małe, czarne jak węgiel chmury, a równocześnie, mimo nadzwyczajnego gorąca, wiatr zimny, jak w marcu, od czasu do czasu z żywiołową siłą uderzał o miasto i okoliczne wsi, łamiąc drzewa i wywołując tumany kurzu, w którym wielkie kamienie, jak drobne listki unosił.

Największe spustoszenia wyrządził huragan we wsiach Koniuchy i Darowice. W Koniuchach zmiótł wiatr sześć zabudowań włościańskich zupełnie, a na setkach domów pozrywał dachy, poszarpał w strzępy obszycia. W Darowicach rozniósł huragan stajnię ogromną, mogącą pomieścić 1500 sztuk bydła.

Mnóstwo krów i wołów zostało poranionych. Fornal dworski **śmiertelnie** pokaleczony odłamkami ścian i dachu, dogorywa w przemyskim szpitalu.

W Przemyślu, u wylotu ulicy Dobromilskiej i 3 Maja połamała burza mnóstwo drzew. Huragan trwał dobrą godzinę, potem w jednych miejscowościach lunął deszcz, w innych ogromny grad, który wszystko zniszczył. W Koniuchach, ani jedno źdźbło zboża nie uszło całe z pod gradowej nawalnicy. Szkody są ogromne, a na dobitek nieszczęścia w całych Koniuchach ani jeden gospodarz nie był ubezpieczony.

Próba ziemniaków. Chcąc przy kupnie ziemniaków poznać, czy będą sypkie po ugotowaniu, trzeba ziemniak jeden rozkroić i połówki mocno jedną o drugą potrzeć. Jeśli ma być sypki, to się skleja, a na krajach wychodzi piana. Gdy odwrotnie, nie skleja się i puszcza wodę, znak to, że będzie wodnisty.

Napój dla koni. Kto jedzie daleko a popasa, gdy konie zmęczone podróżą, niechaj im nie daje czystej wody, tylko domięsza im po litrze mąki do wody. Napój ten jest zdrowy i zmęczonym koniom siły przywraca do dalszego biegu.

Sowy przyjaciółkami rolnika. Dotychczas panowało niesłuszne mniemanie, że sowy niszczą użyteczne ptaki i są dla rolnika szkodliwe, niemiłosiernie je też tępiono, a zabitą sowę z rozpostartemi skrzydłami, jako postrach dla ptaków przybijano na wrotach do podwórza lub stodoły. Wedle najnowszych badań okazuje się jednak, że sowy nie są szkodliwe, ale przeciwnie pożyteczne dla pól i lasów, bo tępią myszy, wszelkie gryzonie i szkodliwe owady. W późnej jesieni przebywają najchętniej w młodych zagajeniach tępiąc szkodniki młodych drzew. Nie tępmy zatem sów, ale przecwnie oszczędzajmy je.

Środkiem na wszy u bydła bardzo skutecznym okazał się olej rzepakowy, którym bydło zawszawione się naciera. Skutek jest tak szybki, że pasożyty w czasie nacierania skóry zdychają. Nawet jajka, czyli gnidy giną od oleju, wszelako potrzeba, jeśli skutek ma być dokładny, nacieranie po kilku dniach powtórzyć; jeżeli sierć jest długa, to należy zwierzęta ostrzydz.

Do zachowania kożuchów i futer przed molami zaleca się tabaka. Bierze się w tym celu najmocniejszy gatunek tabaki, a wysuszywszy ją na proszek, obsypuje się nią dokładnie futra, owija się futro w prześcieradło i chowa starannie. Tabaka zaleca się przed innymi środkami, jak n. p. naftaliną i t. p. dlatego, że nie pozostawia po sobie w futrze nieprzyjemnego zapachu.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Szanownym Czytelniczkom donosimy, że numer trzeci *Przodownicy* — numer marcowy, jest zupełnie wyczerpany. — Jeżeli ponowimy nakład tego numeru, to nie omieszkamy wysłać go Szanownym i Drogim Siostrom naszym.

Administracya przypomina Szanownym Czytelniczkom o zaległych prenumeratach. Tym zaś Przyjaciółkom *Przodownicy*, które ją popierają i zachęcają do czytania i prenumerowania, przesyła administracya staropolskie „Bóg zapłać“.

Szanowna Marynko. Na przesłanych Wam kartkach dla Maryi Konopnickiej, można nietylko jakiś wierszyk napisać, ale jeżeli która z Was umie rysować, to i jakiś obrazek na tej kartce wyrysować może. Będzie on również bardzo miły i ucieszy Maryę Konopnicką. Na tej kartce mogą również podpisywać się i sąsiadki, sąsiedzi, krewni i znajomi.

Szanownym: Sieradzkiemu, Jaworskiej w Rumunii, Kotasowi Michałowi Wiktorowi, Błażewskiej, Czytelni w Krakowcu, Nazimkowej, *Przodownicę* wysłałyśmy.

Szanowna Bobrowo. O dniu uroczystości jubileuszowej Maryi Konopnickiej, doniesiemy z pewnością, a nawet wcześniej, aby, kto zechce na ten dzień przybyć do Krakowa, mógł mieć czas na przygotowanie się.

„Quo vadis“. Powieść Henryka Sienkiewicza, wysyłamy równocześnie z numerem czerwcowym Sz... donosząc, że obecnie ta piękna powieść, w bardzo ładnej oprawie kosztuje tylko 2 korony. Sprowadzać to dzieło można z księgarni Kaspra Wojnara, Kraków, ul. Szewska L. 13.

W odpowiedzi, czy i w tym roku wyda p. Wojnar kalendarze, donosimy, że wyda ich cztery i jeszcze piękniejsze niż dawniej. Wyjdą więc następne: Uniwersalny, Polak, Maryański, Gospodarz i Wojskowy. Zamawiać można zawczasu u Wojnara. Nie kupujcie więc, drodzy Czytelnicy, kalendarzy wydawnictw niemieckich, ale wydane przez K. Wojnara, które to kalendarze powinny znajdować się w każdej polskiej chacie.

Środek przeciw udławieniu się.

W wypadku zadławienia się trzeba nos tak ścisnąć, aby obie dziurki dobrze zatkane były, a powietrze znajdujące się w tchawicy, wypchnie przedmiot dławiący natychmiast.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek do Nru 7 „Przodownicy“ z r. 1902.

O TADEUSZU KOŚCIUSZCE.

Przez M. T. P.

(Ciąg dalszy).

V.

Tę bitwę racławicka prześlicznie opisał wierszem jeden z naszych znakomitych poetów Teofil Lenartowicz. Przytaczam tu parę wyjątków z tej rzewnej a serdecznej pieśni. których bodaj na pamięć wyuczyć się powinniście.

„Do Racławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery.
Madaliński z hułanami
Potem kosyniery.
Przed narodem
Ludzie przodem
Dwie chorągwie niosą:
Na czerwonej, wyrobiony
Złoty snopek z kosą,
A na białej, srebrnej całej,
Czystem złotem dziana,
Matka Boża niebios Pana
Stawia na kolana.
I wiatr wiewa koło drzewa
Chorągwią przewija,
To snop świeci w oczy kmieci
To Matka Marya.
I głos bieży na wiatr świeży
W oddaloną stronę,
Jak łza dziecka, pieśń nie świecka
Pod Twoją obronę...
Do Racławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery.
Madaliński z hułanami
Potem kosyniery.
Przyciągnęli pred kościołek
Aż ksiądz stoi w progu:
Mili bracia, rzekł Kościuszko,
Pokłońcie się Bogu.
Jakby wicher nagły powiał
Pośrodkiem dąbrowy
Schylili się wszyscy ludzie,
Czapki zdjęli z głowy...
Przed obrazem sam najpierwszy
Naczelnik przyklęknie,
I pokłoni się do ziemi
Ręce złoży pięknie.
A lud sobie dobrze wróży,
Uważają swoi
Że Moskala ten pobije,
Kto się Boga boi...

Więc Kościuszko taki cichy i pełny wesela,
Patrzy jako ptaszek lichy w Matkę Zbawiciela.
Madaliński się zadumał na pałaszu długim,
Zadumał się nad pałaszem, jakby chłop nad pługiem.
Murowany kościół stoi, wrota modrzewiowe,
Nasz dobrodziej do narodu powiedział przemowę.
Co powiedział, to powiedział, to już tak do wnętrza,
Tak powiedział do każdego, co Matko Najświętsza...
„Polskie dzieci, kosyniery, Ojczyzna kochana“
A pod naszym Naczelnikiem trzęsły się kolana.
Prawie dziurgiem mu leciały z modrych oczu kapki
Słuchał, słuchał, łzy ocierał barankiem od czapki.

Jak dobrodziej lud przeżegnał
Złocistą patyną —
Jak powiedział, że Polacy
Nigdy nie zaginą;
Jakby z serca krakowskiego
Odpadł kamień młyński;
„Wiwat“ krzykną -- „nasz Kościuszko!“
„Wiwat Madaliński!“

Zaparskały wszystkie konie, zabrzękły pałasze,
Maszeruje opłotkami polskie wojsko nasze.
Maszeruje, nie żartuje, kraj jak malowany,
Idą nasi, w trąbki grają, biją w tarabany...
Mgła opada na nizinach, leci za kraj świata,
Anioł Boży z dolin, wzgórzy, siwe mgły rozmiata.
I wyczyścił całe pole jak oka źrenice,
I pokazał... tam Moskali, a tu Racławice.
Widać, widać ich szeregi, a moc tego wielka;
Lecz nad nami Polakami Boża Rodzicielka.
Nasz Tadeusz dobył szabli, za nim wszyscy wodze,
I żołnierza het do krzyża szykują po drodze.
I wysunął się Kościuszko na przodek szeregu,
I zawołał: „Wiara bracia! od brzegu do brzegu,
A najpierwej wy wieśniacy Polski ludu rolny,
Widzisz Moskwę — to niewola! bij a będziesz wolny.
My tu bracia, na swej ziemi, ziemia to krakowska;
Nasza Polska i nasz krzyż ten i rola ojcowska.
Czy nam zagon ten nie miły uznojony pracą?
Żeby Moskal go zabierał, jeden Bóg wie za co.
Wiara bracia, przez Bóg żywy, kto Polak prawdziwy,
Niechże będzie już nie mściwy, ale sprawiedliwy.
Puszczać kosy na te chwasty, co nam pola głuszą,
Kochać Polskę nie połową, ale całą duszą.
Czyście dobrze zrozumieli, dobrze wysłuchali?“
— Zrozumielim, Naczelniku, trzeba bić Moskali...
„Jezus Marya, hasło nasze“, „Jezus Marya!“ wrzasną,
A na rżysku, od kos błysku zrobiło się jasno...

Nasz doboszyk w bęben grzmoci
Aż się cały poci;
A trębacze grają w dali:
„Hurra! na Moskali!“

Gdzie najwięcej ludzi pada, tam Kościuszko leci,
Porządkuje, rozkazuje: „trzymajcie się dzieci!
Żeby my to jeno sami, toby mniejsza o to,
Lecz cóż będzie z Polakami, z Ojczyzną sierotą?“
Więc się nasi wyciągają, co zginie, to zginie —
A armaty wciąż im grają, jak bas na marynie.
Wiele złego na jednego, Kościuszko spogląda —
Żeby chociaż trzy armaty, tego mu się żąda...
Popatrzał się nasz Kościuszko na mgliste niebiosy,
Zaplótł palce kłopotliwie w swoje długie włosy.
Sztandarowym rzucił słowem, by chorągwi strzegli,
A gdy jeden z rąk wypuszcza, by drudzy podbiegli.
„Bracia śmielej, niech się bieli, choć podarty
[w szmatki —
Póki sztandar na wiatr wieje, póty naszej matki.“
Krótko cugle wziął do ręki, wpakował ostrogi,
Siwy konik stanął dęba na obydwie nogi.
Wstrząsnął grzywą, parsknął żywo i puścił się
[pędem —
Gdzie za wrzosem kosyniery stali jednym rzędem.
Stach Świstacki stał na prawem, Głowacki na
[lewem,
Jak ów stary Waligóra podpierał się drzewem;
Długie wąsy mu spadały aż na białą świtę,
Na koszulę rozrzuconą, piersi nie zakryte.
Ten gdy ujrzał Naczelnika, że samotwór spieszy,
Ucieszył się, jak się dziecko matce nie ucieszy.
Podniosły się przed Kościuszką na kosach czapeczki,
Pokłonił się naród wiejski jak zboże z wietrzyku:
„Wiwat“ krzykną, „najmileńszy
Ojcze Naczelniku!“
„Niechże będzie pochwalony!“
„Na wieki!“ odwrzasną —
A na rżysku od kos błysku zrobiło się jasno.
„No cóż wiara Krakowiacy, jakże wam się widzi?
Czy się Polak dziś powstydzi?“
— „Zaś się tam powstydzi!
Jeszcze takie, Naczelniku, prawo nie nastało
Żeby się to polskie wojsko, moskiewskiego bało.
I przyklękli, w kosy brzękli, jak zwyczajnie
[młotkiem,
A Kościuszko między ludźmi przejeżdżał po-
[środkiem.
„A cóż mi to za wesele, gdzie niema skrzypicy?“
Więc wyskoczył chudy duda i dwaj kobeźnicy.
I skrzypiciel ukochany od narodu wielce,
Co mu skrzypce u sukmany wiszą na pętelce.
A gdy Bartosz czapkę w górę wyrzucił nad głowy,
Że już teraz za Ojczyznę polski lud gotowy...
Jak nie hukną kobzy, dudy, skrzypka jak nie utnie,
Jak się nasi Krakowiacy nie puszczą okrutnie.
Od radości aż zadrżała ziemia poorana.
A wciąż pieśń się odzywała: „danaż moja dana!“
Idą, idą, chylą głowy, uśmiechają lica,
To zabrzęknie kosa pięknie, to utnie skrzypica,
To ich dymy w pół przesłonią, to słońce oświeci.
Wiara pędem, równym rzędem, po pagórkach leci,
I piosenka wciąż dolata, cichym wiatrem gnana:
„Danaż moja, dana, dana, Ojczyzna kochana!“
Więc Kościuszko stojąc w mierze, weseli się
[szczerze,
Przy nim stoi Madaliński i polscy żołnierze...
Uderzają... „Jenerale, przycichł grzmot armatni,
Jeszcze jeden wystrzał pada, słyszycie... ostatni!“
I zniżyli kornie głowy przed zrządzeniem bożem,
A wiatr dymem wśród dąbrowy kołysał jak morzem.
Idzie sobie Stach Świstacki, a Głowacki jedzie;
Jedzie, jedzie na armacie, na smoku mosiężnym.
Czapką wiewa, a lud śpiewa głosem tak potężnym,
Jak na wiosnę się rozwala fala rozdąsana,
„Danaż moja dana, dana, Ojczyzna kochana“.
I stanęli przed Kościuszką Krakowiacy śmiali,
Do nóg mu się pokłonili, potem zaśpiewali:
„Kto za ciebie, matko nasza, zdrowia pożałuje
Niech mu tego przy skonaniu Pan Bóg nie daruje.
Ojcze miły, Naczelniku, przynosimy plony,
Ośm armat na wojenkę, a cztery na dzwony...
Oj, było tam pracy, było, ale już nic nie ma
Ot, tak ojcze, się robiło ramiony obiema
I nic nam się nie zdarzyło, wszystkie kości zdrowe
Tylko że się osmaliło pawie piórko nowe.“
Więc Kościuszko po kolei, ze Stachem, Bartoszem
Radby się był chętnie dzielił i ostatnim groszem.
Ale że to Polak szczery na złocie nie siedzi,
Przy swej duszy nie miał więcej nad trzygrośniak
[z miedzi.
Więc się dzielił polskiem sercem,
Dzielił dobrem słowem.
Oj tęsknoż to za tą Polską
W Polsce za Krakowem.
Całe pole oczyszczone, i tylko po stronie
Owdzie leżą ludzkie ciała, owdzie leżą konie...
Mgły powstają nad wieczorem, mokra pada rosa,
„W górę, w górę Naczelnika“ poszedł krzyk
[w niebiosa.
I podnieśli go jak piórko,
Jak ptaszynę polną —
Jak z miłości, to z miłości
To i wszystko wolno.
Stach go trzymał na ramionach, Bartosz suchożyły;
Chorągiewki powiewały, kosy się świeciły. —
Gdzieżeś nasza Polsko miła? straszne sądy Boże!
A ty świecisz wciąż miesiącu na niebieskim dworze.
Świeć miesiącu na te góry, lasy i krynice,
Niech się srebrzą niech się złocą nasze Racławice!
Na tem polu, na tej roli
Polakom nie wstydno —
Kto za Polskę krew oddaje
Niech mu będzie widno“ —

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dańko z Jawuru.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Po tych wyrazach nastała chwila ciężkiego milczenia. Piotr stanął zupełnie do przezwiska swego podobny, Dańko zbladł i usta mu drżały, Kaszubina z niespokojnością to na jednego, to na drugiego spoglądała, a Halinka wpół z prośbą, wpół z przerażeniem rączki jak do modlitwy złożyła.

— A czy wiecie, cudna pani — odezwał się nakoniec Dańko — czy wiecie, że mnie syn wasz jak dzikie zwierzę chciał zaszczuć swoim brytanem?

— Wiem — cichym głosem odrzekła biedna matka.

— A czy wiecie, co to my znieśli biedy, uciemiężeń i zdzierstwa od pana naszego? — mówił dalej coraz surowiej.

— Wiem — ciszej jeszcze powtórzyła nieszczęśliwa żona.

— A czy wiecie — i dźwięk najżywszej boleści w każdem słowie z piersi mu jęczał — czy wiecie, że za moję krzywdę, za moje rany, przyszli potem oprawcy i starego ojca mi zbili?...

Kaszubina milczała.

— Cha, czy wiecie jeszcze — i wszystkie muskuły się w twarzy mówiącego ściągnęły — ale nie, wy nie wiecie jeszcze, co mi wtedy na myśl przyszło? Oto, że chłop ma zbitą skórę, ale silniejsze ręce, że pod strzałami łowców pada często zwierzyna, ale czasem wilk się odwróci, niedźwiedź na łapy wespnie i najśmielszego łowca uprzedzi — a kiedy matka ogień rozniecila, to sobie wielki pożar wielkiego zamku wystawiałem, i tak przez dni kilka było mi w oczach czerwono jak po krwi, płomiennie jak od łuny... Zlituj się, Boże, nademną, bo to grzech.

— Dańku! Dańku! — z ciężkością wymówiła drżąca jak listek osiny Kaszubskiego żona.

— Pokój z sercem i myślą waszą niech będzie, dobra pani! — rzekł już spokojnie i łagodnie syn Piotra. — Ubożuchny chłopek wiele wycierpiał, ale mu łatwiej złego zapomnieć, niż o dobrem nie pamiętać. Jako wy byliście pocieszycielką naszą, tak niech pierwsza prośba wasza stanie się dla nas świętem przykazaniem. Ojcze! — przydał, do Sępa się zwracając — ojcze, niech mi na tamtym świecie oddane będzie to złe, które jabym chęcią lub uczynkiem przeciw rodzinie dawnego pana wymierzył.

— Amen — odpowiedział stary Piotr uroczyście i wyciągnął ku ołtarzowi spracowaną rękę, potem jakoś łzą mu oko zaszło, dał znak milczenia synowi, który coś mówić zaczynał, wzniósł oczy do góry, umaczał w świętej wodzie końce wychudłych palców swoich, zbliżył się do Halinki, rozgarnął jasne włosy na jej czole, i znak krzyża św. czyniąc:

— W Imię Ojca — rzekł — i Syna i Ducha św., ja, kmiotek, błogosławię ciebie, córkę wielkiego pana, ja ubogi, daję tobie i matce dla wszystkich twoich z głębi serca win odpuszczenie, a niech mi tak święci Boga w dzieciach moich darzą, jako ja ci, dziecinko, błogiego losu życzę, w pacierzu wspomnienie i w potrzebie usługę przyrzekam. No, cudna pani, czyż przypuścicie teraz, że ten, co waszę córkę przed ołtarzem dobrem słowem żegnał, może dla męża i syna waszego niechęć w sercu zatrzymać jeszcze?

— Nie, Piotrze Sępie — ze wzruszeniem odrzekła — nie, już tego nigdy nie przypuszczę, tylko jako wierzyłam pierwej, że przed obliczem Boga kmieć w siermiędze i pan w złotolitej szacie są zawsze według duszy swojej uważani... chciałabym krwią serca własnego dać wam na pamiątkę te wyrazy moje, ale przyjmijcie je chociaż szczerem cierpiącej duszy błogosławieństwem. Jak w matce Zbawiciela, siedm mieczów boleści tkwi ciągle w piersi mojej, toć też nie wątpię, że tam w niebie wyraźniej słychać me prośby, chociaż za drugich. Przez tę wiarę, Dańku, chodź, klęknij przy mych kolanach; w zamianę tego, co twój ojciec dał dziecięciu memu, ja tobie młody chłopcze, oddaję. — I kiedy kornie przed nią Dańko się uchylił, ona, jako Sęp, w święconej wodzie rękę umoczyła, przeżegnała nią czoło i barki wieśniaka, a potem dodała tylko: — rośnij w cnotę, zdrowie i siłę, na pociechę rodzicom, na pomoc bliźnim twoim. Teraz — rzekła, znowu odwracając się do Piotra — pobłogosławiliśmy nawzajem dzieci nasze, to się możemy rozstać, a przyjazne uczucie do grobu w sercach naszych nie zgaśnie. Dajcie mi dłoń waszę, Sępie, daj mi twoję także, Dańku, ostatnią z Jawuru pamiątkę; będzie mi to chętne dobrych ludzi pożegnanie. — Mówiąc te słowa, sama ku wieśniakom obie wyciągnęła ręce i każdy z nich jednę ujął i ścisnął szczerze, bratersko.

— Mateczko, a ja także ich pożegnam — ozwał się czysty głosik Halinki.

— Pożegnaj, dziecię moje — odrzekła Kaszubina i lekko białe czoło dziewczynki nachyliła do ust starego Piotra.

Dańko, nieśmiały, ucałował tylko drobniutkie rączki pięknego aniołka i rozstała się można pani z dawnymi poddanymi, jako siostra z rodzonymi braćmi.

Tymczasem wieść pomyślna całą wieś obiegła.

Przed Sępową chatą obsiadła Salomeę niemała gromadka i rozmawiali o nowo zaszłych wypadkach, o młodym dobroczyńcy, książęcym synu, który tak umiał danego dotrzymywać słowa, który jawurskich nie zapomniał chłopków, i przyszło wreszcie do dawnych wspomnień...

— Odpuść nam, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom — odezwał się z boku poważny głos Sępa, i do tych słów świętych przydał wiele z własnego serca czerpanych wyrazów, a że mówił o przebaczeniu, o Bogu, o cnocie, łatwo mowa trafiła do duszy polskich kmieci, i od tego czasu nikt już we wsi skarżącem wspomnieniem Kaszuby Kaszubskiego nie wspomniał.

Tak jakiś czas upłynęło — nieznana pierwej błogość zawitała do Sępa chałupy, jedno ogniwo z Kazimierzowego łańcucha wymieniono na potrzebne do zagospodarowania się sprzęty, drugie, w dzień Trzech Króli święcone, wisiało z wielkanocną palmą na ścianie, a kiedy słońce zachodu nań padło, to świeciło tak jasno, jak błogosławieństwo Boże po dniu użytecznie spędzonym. I wszystko dobrze się wiodło. Dańko już na młodzieńca rosłego wyglądał, przy lepszej wygodzie, Bartuś zdrowo się chował, a Magdeczka skrzętnie w domowej pracy matkę wyręczałe, Sęp, jako przyrzekł, co wieczór z rodziną swoją pacierz odmawiając, zawsze temi kończył go słowy: „Kazimierzowi, dobroczyńcy naszemu, daj Panie długie życie i wielką możność na ziemi, a nad Kaszubskich rodziną niech będzie miłosierna ręka Twa, o Boże!“

I tak dzień po dniu schodził im wesoło, przy korzystnej pracy, przy spokojnem sumieniu, a jednak przyszłość ciężkie gotowała próby; życie ludzkie snuje się dziwną zmianą pociech i boleści — kto wszystkie zmiany przetrwa, z okiem ku niebu, z sercem zawsze ku dobremu zwróconem, tego dopiero na wieczność szczęścia Bóg na łono swoje przyjmuje.

V.

Najazd litewski.

Biada cichym, włościańskim zagrodom! Wieść smutna, wieść przerażająca rozchodzi się wkoło, że Litwa daleko w kraj rozpuszcza zagony. Napad dziki, niespodziany, zwyczajnie jako litewski. Kto widział łunę spalonych wiosek, słyszał krzyki przerażenia z dzikiemi pomieszane wrzaski, ten nie pytał: co to ma znaczyć? tylko Bogu duszę polecał i uchodztł coprędzej w te strony, gdzie jeszcze ognia, gdzie mordów nie było. Jedni cały z sobą zabierali dobytek, drudzy z życiem i wolnością uciekali tylko, inni o rozpacznej obronie myśleli. Piotr Sęp do tych ostatnich należał. Skoro go doszły pierwsze o najściu posłuchy, kazał Dańkowi przekuć żelazne kosy i lemiesze, schować w fałdy siermięgi złote z łańcucha ogniwo; sam wziął wierną siekierę do ręki, noże za pas, zwołał swoje kobiety, polecając im żeby także cośkolwiek z domowego żelaztwa zabrały, i potem wszyscy razem schronili się do lasu. A był to las ciemny, gęsty, rozległy, aż w Kozienickiej tonący puszczy. Pierwszy dzień zszedł spokojnie i cicho, na drugi Dańko z wysokiej sosny widział, jak wiatr kłębami dymu uad Jawurem przeganiał, dnia trzeciego już było słychać krzyki i dzikie hukania po lesie; wróg coraz bardziej się zbliżał, lecz w tych miejscach niknęła jego przewaga. Sam rozpierzchnięty wśród kniei, pojedynczo tylko z pojedynczymi ludźmi mógł się spotykać — a kto będcie silniejszy? to Bóg wie — a czy tymczasem wojewoda na odpór zebranych hufców nie przystawi? tego Litwini nie wiedzą.

Salomea z Magdeczką w zarośle tak się ukryły, że o nich nawet dzień biały nic nie wie. Bartuś, jak dzięcioł, przyległ między gałęzie wielkiego dębu, Sęp i Dańko czuwają na straży. Wieczór się zbliżył, niebezpieczęństwo krąży dokoła, lecz jeszcze Sępa rodzinę omija. W nocy, niby gwiazdki między drzewami, rozpalone litewskie migają ogniska; jedno z nich nawet tak bliskie, że można liczyć żywsze połyski płomienia, a gdy wiatr z tamtej strony zawieje, można głośniejszych dosłyszeć krzyków; lecz przez większą część czasu głucho na ziemi i ciemno na niebie. Wtem zdało się Dańkowi, że jakiś szelest słyszy; przyłożył ucho do ziemi i wyraźnie przyspieszone rozpoznał kroki.

— Baczność ojcze! — rzekł tylko i stary siekierę, młody swą kosę silniej w ręku ścisnęli. Pacierza jednego nie wyszło, gdy jakieś dwie postaci zaciemniały wśród krzaków.

— To są tylko uciekające kobiety — rzekł znowu Dańko — trzeba im dać pomoc jaką — i naprzeciw biegnących postąpił, ale jego zjawienie silniejszym strachem i tak już okropnie strwożone przejęło niewiasty. Jedna z nich bezsilnie na ziemię upadła, druga, klęknąwszy, obie wyciągnęła ręce.

— Nie bójcie się, to swój, — poszepnął Dańko — chodźcie do nas, w potrzebie bronić was będziemy, a ostrożnie, a cicho!

— Matka moja iść dalej nie może — z rozpaczą tłumionym głosem odrzekła klęcząca. Dańko w milczeniu podniósł z ziemi upadłą i wziął na ręce, jak dziecko maleńkie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.